MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 45. WARSZAWA, 3 LISTOPADA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

RZYM i SARMACJA

Rzym, w jesieni

SZEDŁEM z *piazza Barberini* na Awentyn. Był piękny dzień jesienny, wyjątkowo nieskwarny, myślałem więc o Polsce i jej „złotej jesieni". Wynurzywszy się z *Via Vittorio Veneto*, minąłem najpierw znany mi częściowo pałac Barberinich. Wspomniałem komnaty stylowe drugiego piętra, gdzie tej wiosny asystowałem był w gronie rasowych Rzymian uroczystej mszy św. na cześć Królowej Korony Polskiej i miałem na myśli wizytę Ossolińskiego u nepotów papieża Urbana.

Szedłem dalej. W pobok ludnej *via del Tritone*, napotykałem inne ślady polskiej stopy. Tu, w tym imponującym pałacu, studjowało niegdyś, dwieście lat temu, tylu synów naszych szlacheckich, uczniów pijarskich: Ignacych, Stanisławów Potockich; tam — nieco dalej — mieszkał Mickiewicz w okresie tworzenia „Legjonu".

Na placu Colonna skłoniłem głowę przed św. Pawłem na szczycie obelisku, uprzytomniając sobie, że papież Sykstus umieścił tu tę figurę w roku śmierci Batorego, podobnie jak na placu Trevi, podziwiając cudną fontannę, wiedziałem, że powstała w roku, w którym August Trzeci przybywał do Warszawy.

Ale oto doszedłem na plac Wenecki i stanąłem przed pałacem „szaleńca" — jak się o Mussolinim chętnie gada dziś w salonach i kawiarniach warszawskich. Na prawo miałem Kapitol, miejsce święte, z którego—przed blisko półtorawieczem— „dawał rozkazy" inny szaleniec, bo zmagający się także z Anglją, i to nie bez udziału przyszłych zdobywców afrykańskich, Kniaziewicz. Po lewej ręce, w sąsiedztwie kolumny Trajana, widziałem kościół, wzniesiony na pamiątkę Odsieczy wiedeńskiej: „*Santo Nome di Maria*".

Szedłem dalej i doszedłem na Awentyn. Tu mnie czekały wspomnienia najrzewniejsze, bo najstarsze. Tu ideał mój kulturalno - patrjotyczny sięgnął bruku, po którym chodził zapewne i Łokietek w czasie „jubileuszu" roku 1300, i posłowie Jadwigi, i Tomicki, i Hozjusz. Kroczyłem krętemi uliczkami dostojnego wzgórza i doszedłem na placyk, na którym stoi wspaniała bazylika średniowieczna, niegdyś, w zaraniu naszej cywilizacji, dom zacnej matrony Sabiny, potem warowny gród Savellich, z których wyszedł papież Honorjusz, jeden z fundatorów tej świątyni, nareszcie pierwszy w świecie klasztor dominikański. Postąpiłem do kruchty, minąłem drzwi z cyprysu, na których najstarsza wiara średniowieczna wyobraziła była sceny Narodzenia i Męki i znalazłem się w bazylice, której kolumny mówiły mi o bogach pogańskich, a mozaiki o zwycięstwie Galilejczyka. I wspomniałem, że w kapitularzu po dziś dzień zachowanym, Hiszpan Dominik oblókł był niegdyś w białe habity dwóch przybyszów z Północy, Jacka i Czesława, synowców biskupa krakowskiego.

Jeszcze parę kroków dalej: „*Sant'Alessio*", gdzie kształcił się na misjonarza Polski i jej kresów arcybiskup praski, Wojciech Sławnikowic.

* * *

A teraz schodzę ze świętego wzgórza ku nowoczesnym arterjom „wiecznego miasta": ku „*Corso Umberto*", ku „*Corso Vittorio Emmanuele*" i ku „*Via Nazionale*". Kameloci — kolporterzy, przypominają mi okrzykami fakt wojny. Ale ja znów myślą jestem w rodzinnej Polsce, nie w egzotycznej Abisynji. Myślę, chodząc po wąskich trotuarach „*Corsa*" o zmiennych kolejach stosunków polsko-włoskich: o Kallimachu i Bonie, o Padwie Kochanowskiego i Rzymie Hozjusza, o Janickim i Sarbiewskich, o della Lorych i Berreccih, o Ossolińskim i Innocentym XI, o Konarskim i malarzach Stanisławowskich, o Mickiewiczu i Krasińskim, o Piusie IX i Piusie XI...

Ihr naht euch wieder, schwankende Gestalten! Wszędzie, gdzie stąpnę, w ciasnych ulicach śródmieścia czy na rozległych błoniach Kampanji, nad żółtym Tybrem czy pod kopułą Bazyliki, w „Pałacu Konserwatorów" czy przed pałacami Odescalchich i Caetanich, w *hospitium* na *Botteghe Oscure* czy w Kolegjum Nazareńskiem, wszędzie, na tle łuków i kolumn, świątyń i teatrów, zwalisk i re-

konstrukcji, jawi mi się wizja twórcy „Irydjona“, wizja jego sarmacka, a jednak przytem łacińska, wizja synów Orła Białego, podkarmianych jednak mlekiem rzymskiej wilczycy.

* * *

Co się stało, że, w ciągu wieków naszej niewoli, zdołaliśmy się oderwać od wspólnego pnia kultury łacińskiej, że *arida nutrix leonum*, Roma i jej cywilizacja, ustąpić musiała z czasem miejsca prawosławnemu Bizancjum i pruskiemu *Schulmeister*'owi. Ba! w mojej rodzimej „Galicji”, w najciemniejszych zakątkach lodomeryjskich i W. Księstwa krakowskiego, nasłuchać się musiałem podczas wielkiej wojny, nim mi się udało „zmylić strażniki ceł” i dmuchnąć „do Szwajcar”, niebywale potwornych bredni o „naszym” stosunku do „zdradzieckiej” Italji. Pamiętam zwłaszcza jedną wspólną jazdę do Wiednia z dwoma dygnitarzami polsko - galicyjskimi, w czerwcu 1915 r., a zatem w okresie, kiedy Wenecja zagrożona była już przez bomby austrjackie, a kiedy to od Morawskiej Ostrawy do Lundenburga karmili mnie dwaj ci prezesowie (rad nadzorczych w żydowskich bankach) najgorszemi złorzeczeniami w stosunku do Włoch „wiarołomnych”, na które skłonni byli wyładować wszystkie grzechy patronującego sobie Izraela i całą amunicję uwielbianej przez siebie monarchji.

* * *

Włochy zaś nie popamiętały nam tych wykolejeń. Przymknęły bystre oko wszechwiedzącej swojej dyplomacji na ujadania hotelowe „*Flüchtling*'ów” wiedeńskich, urągające strategji „makaroniarzy” i „mandolinistów”. Zapomniały o nietaktach naszych „kopertowych” *austriacantów*. Ojczyzna Nulla już w grudniu 1915 manifestowała na rzecz naszej niepodległości, pierwsza zaś, w marcu 1923, już za rządów „szaleńca”, uznała wschodnie nasze granice.

Nastąpił Lateran. Zdawałoby się, że pomiędzy dwoma państwami, które właściwie nie mają sprzecznych ze sobą interesów, a które łączy i spaja tysiącletnia więź kultury łacińskiej, zaś—od roku 1929 powiedzieć znowu można — i tysiącletnia więź tradycji katolickiej, winna panować harmonja najprzedziwniejsza. Gdzież tam! Może — dzięki niezręczności naszych dyplomatów, z których niektórzy Ossolińskiego naśladowali tylko pod względem złotych podków—nastała era „Paktu Czterech”, okres oziębienia się wzajemnych stosunków i blokady, jeśli nie celnej, to paszportowej.

* * *

Żydostwo całego świata, w jego łonie zaś potężna nasza „mniejszość”, która co pewien czas dystansuje wpływami swojimi wpływy większości—wypowiedziała wojnę niektórym dyktaturom, a w ich liczbie włoskiej.

Na tym odcinku zawinili może sami także, tak zazwyczaj przewidujący, Włosi. Pamiętam rozmowę z jednym znakomitym Rzymianinem na temat przyjaciela jego, a niegdyś przedstawiciela Włoch w Warszawie: „On nie jest żydem“ — tłumaczył mi ów *principe*—„ale ojciec jego był żydem”. Pamiętamy toeplitzo — i volpi — manję niektórych kół faszystowskich (hr. Volpi po dziś dzień działa skutecznie na rzecz organizacyj masońskich). Mamy nawet wątpliwości co do tego, czy i dzisiejsza polityka italska nie zanadto schlebia naszym „kombatantom”, skłonnym wszakże walczyć o niepodległość wszędzie, byle nie na froncie palestyńskim[1]).

Ale mniejsza o tego rodzaju *gravamina*. Byliśmy nieraz we Włoszech w erze faszyzmu i wiemy, ile Mussolini dokonał *ad maiorem gloriam* swojego narodu. Twierdzimy, że żadna inna dyktatura współczesna nie uczyniła tyle pod względem kulturalnym i pod względem społecznym. Ma faszyzm, jak każdy ustrój ludzki, braki, błędy, skazy, ale—co tu wiele gadać—bije o wiele głów naśladowców swoich zaalpejskich *handicap*'em wielotysiącletniej kultury. Gdy *Duce* przemawia z balkonu *Palazzo Venezia* czy na *via dell'Impero*, niejednemu Polaczkowi wydaje się sztafaż tych wystąpień teatrem czy operą; czyżby woleli naprawdę styl miejscowych enuncjacyj?

* * *

Jakżeż bardzo bym się niepokoił, gdybym się dowiedział, że właściciel domu, w którym zapewniłem sobie mieszkanie, wdał się w ryzykowną zawsze zamorską antrepryzę!

W tem położeniu—*si licet parva componere...*— znajduje się obecnie najdostojniejszy sublokator *Città di Vaticano*. Stąd wielkie zaniepokojenie dyplomacji rzymskiej, widoczne już od styczniowej wizyty Lavala.

Drugi i Trzeci Rzym natkęły się tu na nieposlledniego antagonistę. Trudno zapomnieć, że w Genewie Kalwina prowadzi dziś tan stara przeciwniczka papizmu, Anglja Henryków i Elżbiet, Baconów i Locke'ów; Anglja, co rękami Pittów pomogła przewrócić „arcychrześcijańską” Francję i wierną Rzymowi Polskę, jak wprzódy zniszczyła była moc katolickiej Hiszpanji; Anglja, co w erze Palmerstonów i Disraelich umiała szczuć Garibaldich, Mazzinich a nawet Cavourów przeciwko Piusom i Leonom. Trudno też zapomnieć, jak często faszyzm buntował się przeciwko nakazom Loży, co mówił jej na złość Mussolini w Ankonie, Diaz w Senacie, Bodrero i Luzio na katedrach najstarszych uniwersytetów. Dalekośmy w rzeczy samej odeszli od symbolu pięcioramiennej gwiazdy sabaudzkiej, ale daleko też od ery, kiedy Rzym ślepo słuchał insynuacyj Koburga w masońskim fartuchu.

* * *

Piękna zaś jest Francja w tych słonecznych dniach październikowych, manifestująca na rzecz *sorella latina* na bulwarach, na *quais*, na *avenues*'ach. Nawet mocno zjadliwy względem Włoch korespondent paryski jednego z naczelnych pism warszawskich przyznaje, że jest to odruch narodu, nie polityków, plebiscytu, nie „kraju legalnego”.

Wszystko niemal, co we Francji ma głowę na karku i wolne ręce: Baudrillart i Massis, Bainville i Daudet, Pinon i Farrère (nie licząc jedynie judaizujących „Penklubistów“ w guście Romains'a i zapalczywych „chadeków“ z akcentem na *d*, w dobrze nam znanym skądinąd stylu lubelsko-warszawskim) — wszystko to krzy-

---

[1]) Przytoczony przezemnie niedawno w „Myśli Narodowej” obszerny cytat z faszystowskiego „*Ottobre*” świadczy o tem, iż judeoznawstwo czyni w trzecim Rzymie, *Geneva juvante*, siedmiomilowe postępy, czasem może aż nazbyt gwałtowne (jak np. z oskarżeniem b. ministra Lémery'ego oraz wydawców „*Gringoire*'a“), czasem zaś grzeszące brakiem informacji, jak np. w wypadku kryptobolszewickiego banku „*Banque de Paris et des Pays Bas*”, finansującego całą akcję włoską w Paryżu i niestety! także niektóre pono wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe w Polsce.

czy na wszystkie tony i odcienia gromkie *liberum veto*, domagając się neutralności[2]).

Łacińska, romańska Francja nie pozwala, by krzywda się stała Rzymowi, który dał jej wiarę, prawo i polor cywilizacyjny; nie chce, by w Genewie, wbrew ostrzeżeniom szlachetnych myślicieli, jak de Reynold i nasz Zdziechowski, „*towariszcz*" Wallach-Litwinow panoszył się kosztem Mussoliniego; z ironją wreszcie, która jest zwyczajna w narodzie Rabelais'a, Molière'a, Voltaire'a i Flers'a, kpi na funty (a nie za funty, jak pensjonarjusze „Kawalerji św. Jerzego") z pociesznego *ras* Eden'a, o rajskiem nazwisku i obłudnej retoryce, stosowanej tym razem w obronie „murzynów", którzy będą mogli odejść... do lukratywnych dla Albionu plantacyj bawełny, z chwilą, gdy na Kapitolu zasiądzie następca przeznaczonego dla skały tarpejskiej *quod di avertant*, *signor* Benita[3]).

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

[2]) Od czasu napisania słów niniejszych opublikowała część prasy francuskiej manifest t. zw. „katolików lewicowych", z Cazin'em, Claudel'em, Jammes'em i Mauriac'em na czele, w duchu ligowym, jeżeli nie antywłoskim. Rozdwoił się przy tej sposobności i episkopat francuski: biskup z Troyes poszedł z Mauriac'em, biskup zaś Baudrillart z Massis'em.

[3]) Jakie względy wpłynęły na złagodzenie stanowiska Wielkiej Brytanji w ubiegłym tygodniu: militarne (niepewność co do stanu własnego uzbrojenia), polityczne (strach przed ruchawką ras kolorowych w kolonjach), czy też polityczne (obawa przed komunizmem na wypadek upadku Mussoliniego) — dokładnie nie wiemy.

CHORY PIENIĄDZ i CHORY KREDYT

O ILE ZAGADNIENIA dekoncentracji wytwarzania, samowystarczalności, a raczej niezależności gospodarczej, stosunku do obcego kapitału w życiu gospodarczem i inne podobne są częstym tematem dyskusyj wśród młodych, szukających nowych dróg, ekonomistów, o tyle zagadnienie systemu pieniężnego i kredytowego omawiane jest o wiele rzadziej. Przyczyną tego zjawiska jest trudność znalezienia właściwych dróg uzdrowienia obecnego stanu rzeczy, a nie, jakby ktoś mógł powierzchownie sądzić, pogodzenie się z istniejącym nieporządkiem rzeczy.

Dlatego postanowiłem poświęcić parę uwag tym sprawom, zaczynając od analizy obecnego stanu rzeczy.

Żyjemy w okresie przewagi pieniądza nad człowiekiem. Nie chcę przez to przypominać znanego wszystkim aż nadto dobrze podporządkowania wszelkich działań ludzkich dążeniu do zysku. Chodzi mi o co innego: człowiek, dysponujący pieniędzmi, swojemi czy cudzemi (np. bankier lub lichwiarz) i kierujący temi pieniędzmi bez zajmowania się inną działalnością gospodarczą (przemysłem lub handlem), wywiera o wiele większy wpływ na przebieg zjawisk gospodarczych.

Możnaby na pierwszy rzut oka powiedzieć, że jest to naturalne następstwo wzrostu wartości pieniądza. W ostatnich latach ceny spadały, wartość towarów rosła. Ludzie, mający towary, czyli szerzej rzecz ujmując: d o b r a, ruchome lub nieruchome, a więc wytwórcy oraz kupcy ubożeli, a ludzie mający tylko pieniądze stawali się coraz zamożniejsi.

Bliższa jednak analiza zjawisk wykaże, że przewaga kapitału pieniężnego nad produkcją datuje się nie od kilku lat. Także w okresie wzrostu cen wpływy kapitału pieniężnego stale wzrastały. Tak było przez cały wiek XIX, bez względu na to, czy ceny rosły, czy też spadały.

Musimy więc uznać zjawisko to za nierozłączną cechę t. zw. systemu wielko-kapitalistycznego. Miejsce żywego człowieka-przedsiębiorcy zajmuje stopniowo kapitał pieniężny. Śladami walki między temi czynnikami są nazwy naszych wielkich przedsiębiorstw przemysłowych: Puls, Lilpop, Fitzner i Gamper — to echa przeszłości. Dziś ludzie w tych przedsiębiorstwach nic nie wiedzą o żadnych Pulsach, Fitznerach czy Lilpopach. Wiedzą natomiast, że Puls to Bank Dyskontowy, Fitzner także, Lilpop — to bank Morgana w Nowym Jorku i t. d.

Ten stan rzeczy pociąga za sobą nader ujemne z punktu widzenia narodowego następstwa. Kapitał nie ma ojczyzny — przedsiębiorca w olbrzymiej większości wypadków ma ojczyznę. Kapitał dba tylko o zysk, przedsiębiorca, bądź co bądź, dba także o przedsiębiorstwo. Kapitał można przesunąć z produkcji lokomotyw w Polsce do produkcji konserw w Chicago. Przedsiębiorca produkujący w Polsce np. bekony nie może nagle przerzucić się do produkowania lokomotyw w Ameryce, ponieważ całem swem życiem jest związany ze swym warsztatem pracy i ze swym krajem.

Przedsiębiorca jest narodowy, kapitał międzynarodowy.

Najlepszym symbolem anonimowego kapitału jest t. zw. wędrujące złoto. Od czasu do czasu czytamy, że tyle a tyle miljonów złota przeniosło się z Nowego Jorku do Paryża, potem znowu z Amsterdamu do Londynu, potem z Zurichu do Amsterdamu i t. p.

Banki emisyjne wszystkich państw, cieszące się zwykle ze wzrostu zapasów złotego kruszcu, boją się wprost panicznie wędrującego złota, ponieważ każdej chwili może ono znowu uciec. Dlatego w praktyce nie przedstawia ono żadnej wartości, nie może być podstawą dla planów, obliczonych na dalszą metę.

Skąd się bierze wędrujące złoto? Należy ono do kilkudziesięciu czy kilkuset „czystych kapitalistów". Kapitaliści ci, dajmy na to, posiadają zaufanie do Francji. Kupują więc masowo dewizy (przekazy, weksle, czeki) płatne w Paryżu, by kupić za nie francuskie pożyczki. Wobec tego wytwarza się podaż innych walut. Mają one tendencję do spadania, frank francuski podnosi się. By nie dopuścić do spadku swych walut wszystkie państwa, z których kapitały wycofują się, sprzedają złoto, zaś Bank Francji musi je kupować, by nie dopuścić do wzrostu kursu ponad parytet. Rezultatem tych tranzakcyj jest przepływ złota.

Zazwyczaj złoto banku emisyjnego może być podstawą do powiększania obiegu pieniężnego w stosunku wielokrotnym. Jednak złota wędrującego nie można spokojnie zaliczać do pokrycia. Pod wpływem pierwszej pogłoski ucieknie ono znowu zagranicę, dezorganizując t. zw. rynek pieniężny. W rzeczywistości więc rola tego złota jest wybitnie szkodliwa.

Dla poszczególnych gospodarstw narodowych byłoby lepiej, gdyby złoto wędrujące wogóle do nich nie napływało, gdyż jest ono źródłem silnych

wstrząsów. Podobna jest rola kapitałów wędrujących, nie z dnia na dzień, ale z roku na rok. O ile złoto wędrujące na szczęście omija Polskę, o tyle mamy do czynienia z kapitałami, zatrzymującemi się u nas na okres nieco dłuższy, kilkuletni (złoto wędrujące wedle obliczeń jednego z ekonomistów angielskich zmienia miejsce pobytu 3 — 4 razy na rok).

Oto w końcu roku 1928 lokaty zagraniczne w bankach polskich wynosiły 535 milj. złotych, a w końcu roku 1934 lokaty te spadły do 259 milj. złotych. Zatem w okresie, kiedy pieniądz był mniej wart, złoto przychodziło do nas. W okresie, gdy nabrał większej wartości, odpłynęło. Ponieważ siła nabywcza pieniądza od r. 1928 wzrosła o 71%, przeto można stwierdzić, że suma, która od nas uciekła, była realnie (t. j. pod względem zdolności nabywczej) o 71%, t. j. o 196 miljonów złotych (o sile nabywczej z r. 1929) większa od sumy, która do nas wpłynęła. Tyle zatem straciliśmy na czysto wskutek tak zachwalanego „dopływu kredytów zagranicznych". Ciekawe, że równocześnie kapitał zagraniczny, zmniejszając swój udział w charakterze wierzyciela, zwiększał swój udział w charakterze akcjonarjusza przedsiębiorstw polskich. Tu znowu traciliśmy, gdyż akcje naszych przedsiębiorstw były wykupywane w okresie niskich cen. Oczywiście nie znaczy to, by przychodzili do nas obcy przedsiębiorcy. Przypływał tylko kapitał, gospodarujący u nas za pośrednictwem urzędników i figurantów.

W ten sposób przemysł nasz stawał się własnością kapitału zagranicznego, w znacznej części bankowego. Na własnej skórze przekonaliśmy się o jeszcze jednej ujemnej stronie przewagi kapitału nad przedsiębiorcą. Sentyment dla własnego warsztatu pracy i związanie z interesami całego kraju nakazywały przedsiębiorcy zawsze dążyć do utrzymania ruchu we własnym warsztacie. Z tego względu tam, gdzie występują przedsiębiorcy, trudno stosować te metody gospodarki „związanej", kartelowej, które przynoszą zyski kapitałowi dzięki... unieruchomianiu warsztatów pracy. Tymczasem między paru bankami, które zawładnęły pewnym działem produkcji, łatwo o porozumienie, na mocy którego część fabryk zamyka się za odszkodowaniem „dla uniknięcia nadprodukcji".

Fałszywy zwolennik wolności gospodarczej powiedziałby, że skoro opłaci się zamknąć jakiś warsztat pracy, to trzeba go zamknąć, a przedsiębiorca, któryby tego nie uczynił, postępuje szkodliwie. Wiadomo jednak, że rozumowanie to nie liczy się z faktem sztucznego obniżania produkcji poniżej gospodarczo uzasadnionego poziomu. Metoda ta jest rujnująca dla całego gospodarstwa narodowego, dlatego więc na długą metę przynieść musi straty także temu, który ją stosuje. Stąd też osiadły przedsiębiorca ma z czysto egoistycznych nawet względów słuszność, broniąc się przeciw kartelizacji, ale kapitał koczowniczy z temi względami się nie rachuje, gdyż w odpowiedniej chwili wycofa się ze zrujnowanego kraju[1]).

Trzeba się zastanowić nad przyczynami, które doprowadziły do obecnej przewagi kapitału nad przedsiębiorcą. Kapitał pieniężny mnoży się automatycznie dzięki odsetkom, bez względu na rentowność produkcji. Dziś nawet kapitał ulokowany w akcjach daje dochód, choćby... przedsiębiorstwa były deficytowe. Chodzi tylko o to, by umieć nim manipulować. A jednak nie uważam, żeby sam fakt pobierania odsetek stał się źródłem potęgi kapitału. Odsetki były, prawdę mówiąc, zawsze, a dopiero obecnie widzimy niebywały wzost potęgi kapitału.

Mojem zdaniem, dopiero powstanie nowoczesnych metod organizowania produkcji dało kapitałowi jego dzisiejsze stanowisko. Działy produkcji, które zostały zorganizowane, zdobyły przewagę nad innemi, a kapitał pieniężny zawsze patronował organizacji kartelowej. Dlatego np. w Niemczech, gdzie przemysł był tworzony przez banki, zarówno kartelizacja, jak i przewaga kapitału nad produkcją wystąpiła o wiele wyraźniej, niż w Anglji, gdzie przedsiębiorca zachował dużą niezależność od banków.

Różnemi drogami próbowano przeciwdziałać szkodliwej przewadze wielkiego kapitału pieniężnego w życiu gospodarczem. W Polsce, świadomie czy raczej nieświadomie, stworzono system wyrywający znaczną część kapitałów pieniężnych krajowych z pod dyspozycji czynników obcych, ale stało się to bodaj z większą szkodą, niż pożytkiem dla gospodarstwa narodowego.

Upadek niektórych banków zagranicznych, posiadających duże wpływy na bankowość t. zw. polską (Kreuger — Bank Amerykański w Polsce; grupa wiedeńskich Rotszyldów — Bank Dyskontowy, Bank Hypoteczny, Bank Małopolski; Banca Commerciale — Bank Handlowy; Societé Generale — Bank Przemysłowy) pociągnął za sobą ucieczkę kapitałów z banków akcyjnych i dopływ ich do publicznych instytucyj oszczędnościowych (Komunalnych Kas Oszczędności, P. K. O. i innych).

Cyfrowo rzecz ta wygląda w ten sposób, że od roku 1928 do połowy roku bieżącego suma wkładów w bankach akcyjnych spadła o 367 miljonów złotych, zaś suma wkładów w P. K. O. i w Kasach Oszczędności wzrosła o 847 miljonów złotych.

Zużytkowanie tych kapitałów było jaknajgorsze, podobnie jak przedtem sposób ulokowania funduszów, zgromadzonych przez Bank Gospodarstwa Krajowego z pożyczek zagranicznych.

Z pomocy kredytowej w bankach państwowych korzystają wielkie przedsiębiorstwa i Skarb Państwa. W ten sposób wypacza się naturalną ewolucję stosunków, wiodącą ku dekoncentracji produkcji.

Co więcej, chore przedsiębiostwa, jeżeli tylko kiedyś korzystały z pomocy kredytowej któregoś z banków państwowych, mogą liczyć zawsze na dalsze ratowanie ich kredytem publicznym, dlatego, że upadek ich musiałby za sobą pociągnąć ujawnienie strat. Wiadomo zresztą, że wedle nagminnie u nas panujących przesądów każde bankructwo wielkiego przedsiębiorstwa jest klęską, podczas gdy małe przedsiębiorstwa mogą setkami upadać.

W tych warunkach gromadzenie wielkich kapitałów przez państwowe banki jest bardzo niebezpieczne. Jest ono także bardzo niepożądane i z innego punktu widzenia: stwarza pokusę do ciągłego zadłużania się państwa. W ten sposób,

[1]) Czytelnika może uderzyć pewne personifikowanie przezemnie kapitału („punkt widzenia kapitału", „kapitał ma rację"). Robię to celowo. Człowiek, będący właścicielem lub „dysponentem" kapitału, jest tylko pewnym dodatkiem do pieniędzy, stosuje się do zaleceń, mechanicznie niemal podyktowanych mu przez warunki. Wobec zorganizowania rynków odpada niemal moment ryzyka — pozostaje kapitalistyczna mechanika.

jak to widzimy w ostatnich latach, cały przyrost oszczędności społecznych służy tylko utrzymaniu nadmiernej w stosunku do możliwości społecznych machiny biurokratycznej i hamuje powrót do równowagi w budżecie państwowym. Pieniądze, które powinny pójść na kredyty, umożliwiające rozwój wytwórczości w całym kraju, przeznaczane są na zgoła inne cele.

Przy ogromnej koncentracji kapitałów w takiej instytucji, jak P. K. O., nie może być inaczej. Czyż może ona udzielać pożyczek np. rzemieślnikom i drobnym kupcom? Nie — aparat jej nie jest do tego przystosowany.

Widzimy więc, że i przemiany, zachodzące u nas ostatnio w stosunkach kredytowych, niewiele pomogą, a, być może, nawet zaszkodzą.

Obok przewagi kapitału nad człowiekiem, drugą wielką wadą współczesnego ustroju pieniężno-kredytowego jest niestałość pieniądza. W ciągu ostatnich lat kilkunastu jesteśmy świadkami nietylko wielkich wahań wartości poszczególnych walut, wyrażonej w złocie, ale także wahań wartości samego złota. Zaburzenia na tem tle powstałe są jedną z najistotniejszych przyczyn technicznych obecnego przesilenia.

Błędem byłoby przypisywanie całej winy za ten stan rzeczy wojnie. Chodzi raczej o to, że: 1) system walutowy, jaki się po wojnie przyjął we wszystkich niemal państwach, był wadliwy; 2) lepszy od niego system walutowy przedwojenny też daleki był od ideału.

Po wojnie większość państw przyjęło system pokrycia t. zw. dewizowo-złoty. System ten polegał na zaliczaniu do pokrycia waluty nietylko złota, ale także dewiz wymienialnych na złoto, t. j. weksli, czeków i przekazów zagranicznych. Otóż, podczas gdy ilość złota, pozostająca w kasach banków emisyjnych, jest mniej więcej stała, gdyż wzrasta dość równomiernie i bardzo powoli, ilość dewiz teoretycznie może wzrastać w nieskończoność.

W czasie, gdy zaliczano do pokrycia tylko złoto, stosunek między znajdującą się w obiegu ilością pieniądza a ilością towarów, które dostawały się do obrotu, był mniej więcej stały. Wprawdzie ilość towarów, dostających się do obrotu, wzrastała szybciej od ilości złota w bankach emisyjnych, ale mnożyły się równocześnie zastępcze środki płatnicze i malał stosunek pokrycia obiegu pieniężnego złotem.

Najprostszy system pieniężny, dopuszczający do obiegu (poza drobnym bilonem) wyłącznie monety złote i banknoty pokryte w całości złotem, nie mógł być utrzymany w wieku XIX, gdyż wówczas panowałaby stała tendencja zniżkowa cen, najbardziej hamująca życie gospodarcze.

W świecie powojennym zastosowano najgorszy z możliwych systemów pieniężnych, system pokrycia dewizowo-stałego, polegający na konwencjonalnem kłamstwie. Banki emisyjne zobowiązały się wymieniać banknoty na złoto, którego nie miały. Dlatego związek między walutą i złotem był tylko pozorny. Gdy minął okres konjunktury, opartej na szkodliwych fikcjach, jedne państwa wróciły do systemu pokrycia wyłącznie złotem (coprawda nie w 100 procentach) i zmniejszyły obieg pieniężny, inne musiały znieść fikcję pokrycia złotem, wstrzymując wymienialność banknotów na złoto i, co za tem idzie, obniżając kurs waluty.

Oba te procesy były bardzo bolesne — ale konieczne. Nie są one jeszcze zakończone.

Okres ciągłej zmienności wartości pieniądza odbija się fatalnie na życiu gospodarczem. Zmienność ta jest źródłem wielkiej niesprawiedliwości. Znalezienie trafnej drogi ustalenia wartości pieniądza w stosunku do cen towarów było zawsze i jest jednem z najistotniejszych zadań polityki gospodarczej państwa.

W Polsce jest to zagadnienie szczególnie trudne, gdyż nie mając własnych kopalń złota, nie możemy sobie pozwolić na najlepszy stosunkowo system pełnego złotego pokrycia waluty, a wprowadzenie tego systemu przy obecnych zapasach złotego kruszcu wymagałoby obniżenia cen wszystkich towarów do jednej trzeciej[2]). Takiej końskiej kuracji żaden organizm nie wytrzyma.

* * *

Powyższa analiza dzisiejszej rzeczywistości polskiej w dziedzinie kredytu i pieniądza dostatecznie jasno przedstawia ogrom trudności, piętrzących się na drodze ku naprawie.

MARJAN SZARZYŃSKI

[2]) Nie do połowy, jak mógłby przypuszczać nieznający rzeczy czytelnik bilansów Banku Polskiego, znajdujący tam informację, że pokrycie obiegu w Polsce wynosi blisko 50 procent.

FRANCISZEK NOWICKI

I

Na początku września b. r. zmarł w Zawoi pod Babią Górą w 72 roku życia „poeta Tatr", Franciszek Siła-Nowicki. Miano „poety Tatr" zespoliło się nierozdzielnie z jego nazwiskiem, a wywodzi się od zbiorku liryk pod tytułem „Tatry", wydanych w r. 1891[1]). Inne utwory Nowickiego nie wytrzymały próby czasu, — pozostał w pamięci potomnych z tem jednem tylko, tatrzańskiem swem dziełem. Przypomina w tym względzie Antoniego Malczewskiego. A obaj są do siebie podobni także swym jakby meteorycznym charakterem twórczości, — zjawiając się nagle, niespodzianie, — błyśli i zgaśli. U Nowickiego cała twórczość zamyka się w kilku latach młodości, długi jeszcze późniejszy żywot pozostaje zupełnie bez plonu. Może stłumiła żar twórczy ciężka harówka nauczyciela gimnazjalnego, — ma się jednak raczej wrażenie, że w tem, co stworzył, wyczerpał się — i nie miał więcej nic do powiedzenia. Należał, zdaje się, do tych ludzi, którzy, jak pewne owady, raz w życiu tylko biorą na się szatę godową i dostają skrzydeł — a potem giną. Nie zginął — ale zgasł, na długo przedtem, zanim życie jego śmierć zgasiła. To daje jego poetyckiej fizjognomji pewien rys swoisty, niesamowity, dramatyczny.

[1]) W zbiorku p. t. „Poezye". Cykl „Tatry" drukowany był przedtem w „Kłosach" w r. 1887. Drugie wydanie peezyj Nowickiego, pomnożone niektóremi utworami, rozrzuconemi po czasopismach, wyszło p. t. „Pieśni Czasu", z przedmową Tad. Piniego (Tarnów 1904); i to wydanie jest dziś wyczerpane.

Franciszek Nowicki urodził się w nazajutrzu powstania styczniowego, a młodość jego przypada na czasy zmierzchu dawnych romantycznych ideałów, zmierzchu epoki wzlotów, której hasła zastąpiło hasło przyziemnej „pracy organicznej", głoszone w Małopolsce przez konserwatywnych Stańczyków, w Królestwie przez postępowych pozytywistów. Dla poezji atmosfera była dusząca. Czołowy poeta tej epoki, Asnyk, który korzeniami duszy tkwił w romantyzmie, tak się skarżył na czasy, w których przyszło mu działać:

Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
Wieku bez marzeń, złudzeń i zachwytu,
Obojętnego na widok piękności...

— — — — — — — — — — — — —

Wzrośliśmy także wśród dziwnego świata,
Co się zapału i uniesień wstydzi,
Co każdem wzniosłem uczuciem pomiata...

— — — — — — — — — — — — —

Jego bezduszna, chłodna atmosfera,
Już od kolebki duszę nam otacza

— — — — — — — — — — — — —

Nic więc dziwnego, że ogień zamiera...

Później znalazł w tym nowym prądzie wartości mu właściwe, usprawiedliwiał go i starał się do jego tonu dostroić; zwracał się jednak do młodych z wezwaniem, że powinni uszanować dawne ideały i „nie deptać przeszłości ołtarzy..." Brzmiało to jakby usprawiedliwienie istnienia swego wśród nowego świata: cóżeśmy winni, żeśmy starzy? I za tem szła przestroga:

I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!...

Wróżba ta rychło się spełniła. Około połowy lat osiemdziesiątych pisze młody, nieznany jeszcze poeta, Franciszek Nowicki:

Dziś młodość ziewa u bramy żywota,
Taka rozumna, zgrzybiała, znudzona — —
Zgaszono przed nią blask wszystkich gwiazd [dawnych
Każąc jej wierzyć tylko w gwiazdę — złota,
I przyduszono wszystkie żary łona
Popiołem naszych mogilników sławnych.

— — — — — — — — — — — — —

Lecz cóż my winni, że z błota i kału
Wciąż z Feniksowym uporem powstajem,
Gdy zimny rozum zbyt nam pierś ochłodzi.

— — — — — — — — — — — — —

Cóżeśmy winni, że jesteśmy młodzi?

Pomiędzy skargą Asnyka, a skargą Nowickiego zamknął się okres pozytywizmu.

Narodził się „neoromantyzm".

Renesans idealizmu określany tem mianem ma jednak bardzo różne postacie. Raz występuje on pod postacią poezji tendencyjnej, społecznikowskiej, stającej w bojowym rynsztunku w obronie klas uciśnionych, a nabierającej rumieńców od bicia w „burżuja", — drugi raz w postaci poezji indywidualistycznej, podmiotowej, odwracającej się od wszelkiej tendencji, od życia społecznego wogóle, zapatrzonej w głąb duszy własnej, a przeciwnika swego widzącej nie w „burżuju", ale każdym „zmaterjalizowanym obywatelu", w typowym produkcie życia społecznego — „filistrze" [2]); — to była „moderna", której nasiona przyniósł z Zachodu pierwszy Przesmycki, a która potem skonsolidowała się w „Młodej Polsce". Przez pierwszy z tych kierunków przeszli niemal wszyscy, i ci więc, którzy potem uprawiali najskrajniejszy indywidualizm, — wiernie w nim wytrwali Andrzej Niemojewski i Franciszek Nowicki.

Twórczy okres Nowickiego zamyka się w kilku latach studjów uniwersyteckich na Uniwersytecie Jagiellońskim, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Od początku już tego dziesięciolecia młodzież akademicka, zorganizowana w Czytelni Akademickiej, zaczęła występować nazewnątrz, używając głównie publicznych wieczorków ku czci Mickiewicza i Słowackiego do wygłaszania przez usta prezesów Czytelni swoich programów ideowych. Powstawały też czasopisma akademickie, — poza „Przeglądem Akademickim". miesięcznikiem „prawomyślnym", wykluczającym wszelką politykę, a wychodzącym pod opieką Senatu (kuratorem był prof. Izydor Kopernicki), z czasem także czasopisma bojowe, służące wyrażeniu idej programowych młodzieży „postępowej". W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych wychodziła za mojej prezesury w Czytelni „Przyszłość", pod redakcją moją i Józefa Łuszczkiewicza. Władze uniwersyteckie, w których ton nadawali Stańczycy, patrzały kosem okiem i na pismo i na Czytelnię, jednakże nie mogły formalnie nic zarzucić. Po opuszczeniu przezemnie Uniwersytetu i wyjeździe na studja zagranicę, „Przyszłość" przestała wychodzić, a i Czytelnia znalazła się w ciężkich opałach, gdyż pod miękką ręką kierownictwa zaszły wypadki nietaktów, które skłoniły Senat do usunięcia się od kuratorji, wobec czego były nawet zakusy rozwiązania Czytelni. Jednak państwowe władze administracyjne — bądź co bądź w Austrji brano konstytucję na serjo — uważały, że wypuszczenie Czytelni z pod kurateli Senatu ten tylko może mieć skutek prawny, że wypada ona z pod autonomji uniwersyteckiej, a podpada, jak inne stowarzyszenia, pod nadzór policji...

W tych to warunkach powstało w r. 1889 drugie z kolei pismo uczącej się młodzieży, „Ognisko", zewnętrznie podobne zupełnie do „Przyszłości", ideowo jednak bardzo odmienne. Nowicki należał do składu redakcji, pismo podpisywał Kazimierz Tetmajer. Kto tam artykuły programowe pisywał, nie wiem, — nie były one podpisywane. Artykuł wstępny w pierwszym (kwietniowym) numerze 1889 r., który wiele hałasu narobił, przypisywano Tetmajerowi, faktem jest jednak, że po wyjściu pierwszego numeru on z redakcji wystąpił, a przecież i potem były artykuły w takim samym duchu. Nowickiemu (dla powodów o których niżej) także

---

[2]) A. Górski w „Życiu" krakowskiem: „Żyjemy w czasie wielkich bankructw idej, które niedawno wzruszały umysły, wywoływały wiarę ludów, były natchnieniem poetów. W miarę rozczarowań do życia społecznego i jego typowego produktu, t. j. do współczesnego filistra, rwały się więzy między jednostką a temże społeczeństwem, wzrastała niechęć i protest przeciw banalności i bezduszności zorganizowanej masy i przeciw tym wszystkim objawom duchowym, jakie w tem gminowładztwie zmaterjalizowanego „obywatela" znajdywały swe źródło. Umysły wrażliwsze i głębsze, straciwszy szacunek dla filistra i sympatję do ruchów społecznych, poczęły wycofywać się z życia i szukać innych, trwalszych jego wartości. Zwrócono się do ludzkiej duszy oderwanej, poczęto cenić indywiduum jako takie, jako odrębny, w sobie zamknięty świat,... odbyło się jakby nowe odkrycie duszy..."

ich przypisać nie można. Jednakże, skoro należał do redakcji, był niewątpliwie programowi bliski duchem, żył w jego atmosferze, i dlatego atmosferze tej przyjrzeć się tu godzi. A był to prawdziwy bigos hultajski, uwarzony przez bardzo niedowarzonych kuchcików, z wszelkich nader „postępowych" idej, ze strzępów pozytywizmu, socjalizmu, wolnomyślicielstwa, pryncypializmów wszelakiego rodzaju; — można też rozróżnić pochodzenie poszczególnych smaków tej warzy, a między niemi oczywiście żydostwa, pasorzytującego między młodzieżą stale na wziętym w pacht „postępie", a także „Rosjan", ściślej mówiąc Polaków z dalekich kresów, którzy uszli z więzień, z wojska, z zesłania, i stąd otoczeni byli pewnym nimbem i chętnie słuchano nietylko ich rosyjskich pieśni rewolucyjnych na komersach, ale i przejmowano się ich apostolską „pryncypialnością" w stosunku zwłaszcza do narodowych mniejszości[3]).

Program tedy „Ogniska", ogłoszony w pierwszym numerze zawierał następujące wytyczne: 1. W myśleniu naszem opierać się będzie na metodach ściśle naukowych, doświadczalnych, wykluczając wszelkie dogmaty i objawienia. — 2. Pod względem ekonomicznym uznajemy, że własność li-tylko do pracy osobistej należeć winna. — 3. Pod względem społecznym nie uznajemy żadnych przywilejów... i t. d. — 4. Pod względem politycznym uznajemy równe prawa wszystkich narodowości do wszechstronnego rozwoju sił swoich, na podstawie im właściwych czynników socjologicznych, jak terytorjum, gospodarka, tradycje, wierzenia, zwyczaje, język. Do tego punktu bliższe objaśnienia zawiera artykuł o patrjotyzmie w numerze z maja tegoż roku. Wystąpiono tu przeciw „zwykłemu patrjotyzmowi", ażeby na to miejsce postawić nowy, — „zwykły patrjotyzm" bowiem uważa za swój przedmiot przedewszystkiem państwo, i to państwo zaborcze... przez co podsyca antagonizmy narodowe. — „Nie zgadzamy się na żaden oficjalny patrjotyzm, choćby nawet hasłem jego było: „Kościół katolicki i Ojczyzna"". Patrjotyzm państwowy jest wymysłem szlacheckim. "Z ludowego stanowiska odrzucamy Polskę historyczną, Polskę szlachecką, Polskę od morza do morza. W walkach o niepodległość nie mieliśmy prawa wzywać do udziału w nich mieszkańców Litwy i Rusi, skoro walki te miały na oku interes wyłącznie polski". Co więcej: „hasła walki mówiły o prawach wydartych narodowi, mimo, że położenie masy narodu nie zmieniło się tak bardzo wskutek podboju, mówiły o Polsce od morza do morza, bez względu na to, że w jednej zaledwie części byłej Rzeczypospolitej lud jest ludem polskim". Na miejsce więc tego starego patrjotyzmu postawić trzeba nowy, którego hasłem będzie nie upiór państwa szlacheckiego... lecz cierpiący lud i „nauka doświadczalna". Na miejsce patrjotyzmu „nałogowego" wejdzie więc patrjotyzm „naukowy", — miłość z książki... W związku z tem kończy się ten program takiem wynurzeniem miłosnem, że w polityce zamierza zająć się głównie Polską etnograficzną, „bo z nią wiążą nas silnie nasze sympatje i interesy"... Sympatje i interesy...

(D. c. n.) JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

[3]) „Ognisko", zamieszczając korespondencje z różnych środowisk akademickich, zamieszczało korespondencje młodzieży ruskiej — po rusku!

NORWIDJANA III

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ DRUGA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

(Ciąg dalszy)

8. DO TEOFILA LENARTOWICZA

Paryż, 1860

Rue de Bellefond, 38

Innego dnia, albo raczej innego wieczora, nie będę miał czasu odpisać, — dziś odpiszę więc, a poślę kiedy? nie wiem.

Najprzód powiem ci, że (nikomu tego nie narzucam) ale sam dla siebie zupełnie inaczej wierzę i mniemam niż to wszystko, co głosi się o obecnej smutności stosunków urzędu do świętości. Od wielu czasów słyszę naokoło, że żołnierz francuski, że zakonnica święta, heroicznie wojując, zdobyczy wszelako dla społeczeństwa przez niepieczę i materjalizm urzędu nie odnoszą. Ze widoki ziemskie i niecne czynią, iż ducha zwycięstwa zneutralizowane są. Treści tych mianowicie towianie najdzielniej tknęli i ostro one określali lat kilkanaście, zapewne chcąc ten piękny spadek pokoleniu młodszemu, bez ojczyzny, domu i chleba rzuconemu, pozostawić. Zacni ojcowie! — niema co mówić!

Ja inaczej ufam, — mówię: ufam, bo ja; a powiem: wierzę, nie zaś ufam, jak czas na to da mi godzinę ogólną, potwierdzającą moje ja. Ufam, że duchowieński urząd opływać winien we wszelaką wspaniałość, i dostatek, i majestat, i dostojeńską bogatość, i być w to wszystko obleczony, cokolwiek wytwór cywilizacji podaje obfitego i przemożnego... albowiem stać ma na tem wszystkiem bosemi nogi zwycięstwa, tak jak w epoce pierwszej kościół katakombowy uczynił z wszelakim wymysłem wszelakiej boleści i wszelakiego umartwienia. I że bynajmniej cofać się w owe czasy trudu nie ma, albowiem się wcale cofać nie może, kto w prawdzie jest, tylko iść musi ciągle naprzód.

A powiadam ci, iż ufam Ja, iż tamta epoka w Europie skończona jest i że dziś idzie o to, aby prawda tak zwyciężyła wszelką ponętę świeckiego wytworu, i bogactwa, i władzy, jako ongi wszelki niedostatek, grubość i ubóstwo i poniżenie. Że

byłoby mnie niedość, aby ktoś tygrysa pod nogi swoje zmiótł i lwa kłów nie uląkł się, a ustąpił i poniżył się, skoroby miał łoże szerokie purpurą kryte, i sto sług, i obiad wspaniale zastawiony. Chcę i pożądam widzieć triumf zupełny i Ja ufam, że właśnie o to dziś idzie, a czekam, czyli okaże się, że w błędzie jestem. Zobaczymy!

Pamiętaj, że nie narzucam tych pojęć, że ci tylko o sobie mówię, że — owszem — proszę: uważ zdaleka i wspomnij, że błędne jest mniemanie to o próbie wieku mego?

Mnie niedość, że ktoś czysty jest, albowiem wywiądł i wyszedł i nie tknął się niczego, co trefne jest (żyd!). Że modli się, bo biedny i głodny (żyd), — wierzy, bo o ludziach zwątpił (żyd), — pości, bo upiłby się i obżarł, gdybyć mu dał piwnicę sutą i kuchnię smaczną! Że niezawadzi biednemu szerokością purpury i gestu swego, bo w ciasnej kurcie i wytartym kubraczku skurczył się. Że pokorny, bo władzy dyktatorskiej w ramieniu i łokciu prawicy swojej nigdy nie czuł. — Słowem, że święty indyjski (bo i umierający, jakiejkolwiek wartości są, coś świętego mają zawsze), o czem Hipokrates stary jeszcze wiedział, mówiąc: „aliquid divini latet in moribus", — ale to Hipokrates, nie Chrystus Pan! — a mnie idzie o żywych świętych, pełnych sił, wolnych i dzielnych, i wielmożnych, i szeroko wspaniałych. I myślę, że choć o tyle, aby onym pierwszym zwycięstwom nie ubliżyć, te drugie konieczne są, bo dopełniające i nie łatwiejsze.

A co Francja? co dyplomacja? co Włochy? co chorągwie ludów? — to ja nic tego nie wiem, bo nie słyszę głosów swobodnych, całych i wolnych, — ideą wielką jak obszar miłości cało-chrześcijańskiej zbrojnych i prawomocnych, — dużo tylko krwi-tęgich-chłopców i gnanego bydła. Tylko chorągieweczka ułańska i za całą ideę formułki narodowości, to jest tworu ośmio-wiekowego, dziesięcio-wiekowego, mającego 8 lub 10 wiosen historycznych, a wychowanego na Credo, kodeksie, gramatyce, i liturgji, i konciljach, i reprezentacyjnych formach — rzymskich. Bez czego byłyby też narodowości grzybami i mchami islandzkiemi!

Nie odebrałem nigdy słów od Łubieńskiego, ale uściśnij go odemnie. Nie mogę się ruszyć stąd aż po skończeniu kilku ważnych robót, bo już zapomniałem, kiedy mogłem coś wolno począć, — tyle pierw warunków trzeba zaspokoić i tyle trudu zwyciężyć, że zaiste na świętego budaistycznego wyjśćby mi łatwo było z takiem psiem położeniem!...

Niech ci Bóg da zdrowie.

Cyprjan N.

Uwaga wydawcy: Autograf w Biblj. Krasińskich, rkp. nr. 5148.

9. DO T. LENARTOWICZA

[Czerwiec 1866]

Kochany Teofilu!...

1

Na bałwochwalczą użalać się praktyczność zarówno można słusznie i bezowocnie, albowiem przynosi to gorycz obecnych chwil, lubo nie wiem, czyli dla przyszłości co zyskuje?... Szczęśliwy raczej ten, czyje użalanie się donośne i otwarte jest na rynku, godząc w rdzenną zasadę błędu publicznego, ale które w poufności i nie na rynku oszczędza smętku i pobłażliwość codziennego pokoju zachować umie. Nikt zaiste nie sarkał częstotliwiej na bałwochwalstwo, ile to mógł i czynił Izrael; wszelako niemniej częstotliwie, lubo bezposągową, Jehowy postać nie obrażał Izrael ryciną kamienną i bronzową, jednakowoż w żydowskich swych pretensjach i pojęciach u-bałwochwalał!...

Tu (dla zmiany i zwrotu perjodów) przychodzi mi na myśl wyrażenie napotkane w jednym z współczesnych polskich czasopismów, gdzie recenzent po zastanowieniu się głębokiem nad dziełami słynnego autora, mówi: „Pogadawszy o wewnętrznej wartości..." etc. Upuściłem dziennik na ziemię i nie czytałem dalej, — albowiem doprawdy, że jeżeli „o wewnętrznej wartości", toć nie „pogadawszy", lecz po-mówiwszy... Któż o wewnętrznej wartości gawędzi?!...

2

„Pogadawszy" przeto o rzeczach smętnych, to jest o bałwochwalstwie wieku obecnego, przejdźmy do przypowieści dwóch z narodu, gdzie exploitacje kolei żelaznych i fabryk dymy i kupiectwo mniej zapowietrzyły niż gdzieindziej arkadyjską aurę wiosenną!... Powieści dwie, takowych, określić życzyłbym sobie i uskuteczniłbym to był dawno, gdybym stosowny dar powieściopisarski miał lub zdobył. Tak niejedną treść godną wspomnienia napotyka przecież człowiek na świecie, lubo przejrzał pierwej wszystkie żywoty mężów wielkich, spisane przez greckiego Plutarcha lub orjentalnego powieściopisarza Czajkowskiego (żywoty, które tenże w swym hultajskim plutarchu niedawno zgromadził). Alić fortunni są, którzy dar pisarski posiadłszy, zupełnie wiedzą, który przedmiot w jaki ustawić sposób; takowych pisarzy bynajmniej nie utrudzi z jednej strony sarkać na bałwochwalstwo przemysłowe zagranicznych ludów, z drugiej poetyzować nasze święte tradycje, często w języka samego monumentach zakopane jako żelazne słupy. Naprzykład: śliczne owe wyrażenie, datujące się od czasów, kiedy jeszcze w zamkach miano baty w pogotowiu i kiedy się wołało na hajduków: „daj-że go katu!" — albo wyrażenie równie piękne: „pchnij tam człowieka z listem!" albo inne jeszcze temu podobne: „ruszaj (precz) z Bogiem!"... To wszystko zaś ani bałwochwalstwem ani bluźnierstwem nie jest, skoro się otoczy kwiatami bzu i wonią malin i zielonością. — Tak w ostatnich zakątach ogrodów polskich zawsze są kąty za klombami na końcu ścieżek wąskich, gdzie chłodny cień i jagód czerwoność i woń dzikiego bzu mieszają się z bardzo płaskim nieporządkiem i ze zgnilizny brzydkością. Tam mówię: nie wiesz, jako stąpić nogą, ale tam czerwienieją maliny w cieniu liścia, i tam brzydko jest i ślisko, lecz sielsko i arcy-poetycznie! Cokolwiek zaś jest własne, sielskie, zielone i upoetyzowane, to zaiste że święte jest, — będąc swojem!... nieprawdaż? (Czyli w takowy to sposób na ostateczny dzień pod sierpami anielskiemi ocenioną będzie wszelka prawda?

i dystrybucja ducha prawdy czyli tak uważaną będzie? — tego ja nie wiem! — —).

3

„Pogadawszy” przeto o wewnętrznej wartości bałwochwalstwa, uważałbym za rzecz arcygodną rozpatrzenie się, jak dalece u ludów, które postaciowały bóstwa swoje, a które więc nie w samym tylko języku i literaturze, lecz w plastycznej sztuce wszelakiej pozostawiły ślady mniemań swoich, — jako (mówię) zupełnie co innego u ludów owych wybrzmiewa i oznacza wyraz „bałwan”?! Zaiste, tam gdzie mniej w posągach i plastyce, a więcej w życiu, ludziach i geście ich codziennym usiłowano ogarnąć sfery niebieskiej, tam też i bałwany w tychże względach uważać, oceniać lub poszukiwać jest logiczna. Temu gwoli nadmieniło się zaraz na początku niniejszego pisania, że lubo nikt częstotliwiej od Izraela nie użalał się na bałwochwalstwo ludów, wszelako sam pojęcie Jehowy izraelskiego wielokrotnie ubałwochwalił...

Wróćmy jednakże do zamierzonego planu dwóch powieści, zarówno fantastycznych jak wiarogodnych.

4

Wiadomo jest wszystkim sąsiadom i nie-sąsiadom, iż Benedykt Ostoja porwany został czemś i że się coś dziwnego stało; ale mało kto badać zamierzył, lub wierzytelnie skreślił, co takiego i jak stało się? Benedykt Ostoja, zgruntu poczciwiec i domator, co niedziela zwykł był siadywać w oknie z fajką długą. Żona jego, zacna Scholastyka Ostoja, należała do owych matron cichych, które w nieustannem zatrudnieniu znajdują jakoby pacierz długi, równym płynący szmerem, i nie zwracających na się uwagi ludzkiej jak strumienie miejsca rodzinnego. Że Benedykt co niedziela zwykł był oględnie i czysto golić brodę i cały się zlewać zimną wodą, co długiego czasu wymagało, przyjęte więc było od lat trzydziestu kilku, iż wstawała raniej Scholastyka i obiegłszy sypialnie dziewek służebnych, prowadziła dwór cały ubrany w świąteczne stroje do kościoła. Widywano tak co dni sześć chór tych niewiast służebnych, rosłych jako topole i topolową aleją stąpających po operlonym rosą piasku. Zaś jeżeli widz wstecznie obrócił głowę, dostrzegał i Benedykta długą fajkę w oknie dolnem, albo brodę napół omydloną przed zwierciadłem, blisko tego okna stojącem. Scholastyka Ostoja i dwór cały modlili się tymczasem za Jegomości, bo tak przyjęte było od lat zgórą trzydziestu kilku, i bywało, że kiedy wszyscy do dworu powracali, nieraz Jegomość witał Imość, gładząc palcem brodę swoją, ślicznie wygoloną.

Oto — i tak. — Aż narazie jakże coś nie porwie Benedykta, jakże nie zacznie Benedykt tam i ówdzie różne rozpowiadać rzeczy, — co to się stało? — nie wie nikt... Tylko sąsiedzi zrewidowali rzecz i przekonali się, że Benedykt Ostoja jest mistyk... Jak mistyk, to i mistyk! Tego nikt nie wyperswaduje: mistyk i koniec.

Zdarzenia tego, lubo wielce znanego w okolicy, ani rozstrząsać, ani nawet szczegółowiej opisać piórem mojem nie umiem. Lecz ukrywać nie mogę, że Benedykta duszy obraz przypominał mi owe flamandzkich mistrzów zeszłego stulecia obrazy święte, gdzie niedosyć w ascezie ćwiczony pędzel nakreślił był anioły zdrowia pełne i rumiane na obliczach swoich, które biorą świętego w sposób niedosyć harmonijnie przez mistrza zrozumiany, ale które raz dobrze swoją rzecz ująwszy, niosą ją wgórę. Zaś uchwycony tym przypadkiem zdaje się sam podrywać tam i ówdzie, jak zastarzały w strzelbie nabój. Ale postacie flamandzkie, które go wzięły, trzymają krzepko, jak go raz ujęły, — niosą.

5

Mamże skreślić i drugiej plan powieści, a którą szeroko i głęboko opisałbym był, gdybym powieściopisarskie miał talenta? — Druga powieść moja nie dotycze już pojedyńczej osoby, jak Benedykt i porwanie jego, ale odnosi się raczej do interesu ogólnego, mianowicie zaś zdaje się ona dotyczeć kwestji czasu i dystrybucji słowa. Wszyscy wiedzą np., że w słynnem biurku Pani Telimeny coś zaczęło trzeszczeć... Ależ co?— „that is the question”!... Rzecz jest takiej osnowy:

Telimena od lat trzydziestu kilku wszystko chowała na pamiątkę! Kiedy zaś ostatecznie sama została wykradzioną i uwiezioną gwałtownie do sycylijskiego zamku, stało się, iż zakupił słynne jej biurko Grzegorz Peryfrazowicz, człowiek uniwersalny (który to, skoro *Tajemnice Paryża* wyszły z druku, napisał był *Tajemnice Kałuszyna*; a gdy Wiktor Hugo wydał swoich *Pracowników morskich*, Peryfrazowicz Grzegorz pojechał wraz do Gdańska i że nigdy nie mógł chodzić prosto na nogach swoich, przezwany tam został admirałem). Owóż słynne biurko Telimeny skoro przeszło na własność Admirała,... cóż nastąpiło?

6

Jednego razu, o wieczorze, jakże (mówię) coś nie zacznie trzaskać w napakowanem biurku... kiedy? kiedy?... Oto właśnie że w chwili onej wcale głębokiej, skoro Admirał przedsiębrał dziełko nowe pod tytułem *Fragmenta pośmiertne*, — nie, iżby żywot sobie ukrócić rad, albo z duchy rozmawiał, ale że właśnie pisma pośmiertne słynnego poety jednego, drugiego i trzeciego z druku wyszły. Aż na razie całe się biurko Telimeny rozpuknie i rozedrze czerwonemi wiórami mahoniowemi z dziwnym łoskotem... Księżyc świecił bladawo z za firanek, lampa na stole drżała, — — trzydzieści kilka lat pamiątek, łez, pism, prac, westchnień i zasuszonych kwiatów różnych terało się po ziemi wśród czerwonych mahoniowych wiórów... I koniec. —

*

Pozdrów w imię moje, kochany Teofilu, Dzwonnicę Giotta i nagiego Dawida przed starym zamkiem; pozdrowisz wszystko co oryginalne w Erze, a co oryginalne, to jedynie pracowite i czujne.

Czerwca 1866 Cyprjan Norwid

Paryż

Uwaga wydawcy: Autograf w Bibl. Krasińskich, rkp. nr. 5148. — Wspomniany „hultajski Plutarch” M. Czajkowskiego to wydane świeżo *Dziwne życia Polaków i Polek* (Lipsk 1865). W r. 1866 wyszły staraniem A. Małeckiego *Dzieła pośmiertne* J. Słowackiego (Lwów, 3 t.), o czem również wzmianka powyżej w liście.

NA WIDOWNI

Wspomnienie o ś. p. Feliksie Przysieckim. — Poezja urbanistyczna. — Piewca Lwowa. — Złe czasy.

FELIKSA Przysieckiego poznałem w r. 1921, w samych początkach mojego dziennikarskiego zawodu. Był sprawozdawcą parlamentarnym „Kurjera Warszawskiego" w owych latach, kiedy Sejm miał jeszcze znaczenie, gdy w bezstylowym, niegodnym swej niespodziewanej karjery gmachu b. Instytutu Maryjskiego przy ul. Wiejskiej, znalazł siedzibę ośrodek zwierzchniej władzy Rzplitej, ogniskowały się najważniejsze polityczne decyzje i działania.

W oczach staje mi Przysiecki, wysoki i chudy, kiedy z loży prasowej przysłuchiwał się uważnie debatom, pilnie notując ciekawsze lub charakterystyczniejsze szczegóły, gdy w pokoju dziennikarskim, pochylony nad swem biurkiem, pisał z pośpiechem, przerzucając hektografowane kartki „djarjusza", gdy szybkiemi krokami sunął do rozmównicy, aby załatwić „telefon zamiejscowy"... Bardzo pracowity, potrafił jak nikt zbierać różne drobne wiadomości polityczne (t. zw. michałki), a, lubiany przez wszystkich, z niewielu słów, zamienionych przygodnie z tym czy innym wybitniejszym posłem, w mig orjentował się w panujących wśród przywódców sejmowych nastrojach. Sławnie wiązał krawaty: do dziś nie zdarzyło mi się napotkać nikogo, przewyższającego jego kunszt pod tym względem.

Był człowiekiem równego usposobienia, jednym z tych, którzy nie sprawiają niespodzianek. Zdawało mi się, że go znam: wszak tyle godzin spędzaliśmy codzień razem przy pracy... A przecież przypominam sobie, któregoś późnego wieczora...

Nie wiem, jaka była wtedy przyczyna, że Feliks Przysiecki zaszedł do redakcji „Gazety", gdzie, zastępując kogoś, pełniłem funkcje nocnego sekretarza. Wszyscy poodchodzili już, napisawszy co do nich należało, siedziałem sam, czekając na jakieś dodatkowe depesze PAT-a i ostateczną „rewizję" numeru przed drukiem. Na stole stos dzienników, rękopisów, korekt, herbata wystygła w szklance, bułka z serdelkiem. Lokal, brudny i ponury za dnia, w mroku nocnym wydawał się jeszcze posępniejszy. W przedpokoju — na ławce — drzemał woźny...

Trudno zrozumieć czemu (otoczenie bynajmniej nie nastrajało na ton poetycki) pogawędka z Przysieckim zboczyła na tematy literackie. Stopniowo ożywiał się, stawał się coraz wymowniejszy, aż nagle, najniespodziewaniej, zaczął mi deklamować—swoje wiersze! Głos jego brzmiał głęboko, niemal uroczyście:

„Czarne ogrody wtedy nocą
Wiatr rozkołysał w całem mieście,
Pocoś ty do mnie przyszła, poco
I gdzieś zdobyła o mnie wieści?..."

— — — — — — — — — — — — — —

Feliks Przysiecki — poeta pozostawił po sobie tylko jeden mały tomik wierszy, właśnie w owym czasie oddawany do druku: „Śpiew w ciemnościach"[1]). Wszystkiego dwadzieścia jeden utworów lirycznych, na czterdziestu siedmiu niedużych stroniczkach, a przecież zapewniły one autorowi rangę w literaturze. Dzisiaj, kiedy przeglądam je, w niczem nie utraciły owego uroku, jakim oddziaływały na mnie przy pierwszem poznaniu.

Nie chodzi mi tu o świetne Przysieckiego rytmy i rymy (tem sztukmistrzowstwem popisywali się nieraz najsłabsi pisarze), ale o rzecz, która zawsze bodaj stanowi istotne tworzywo poezji — o prawdę tęsknoty, po swojemu odczuwaną i wyrażaną:

„...Wystarczy przymknąć ze znużenia oczy,
A to, w com serce młodych zaklął lat,
Już woła ku mnie i wśród pustych mroczy
Stracony dawno znajduje mój ślad...

Z wspomnień, jak zawsze, i teraz wyrasta
Ulica nocą szumiąca od lip,
Oprawne w szafir kochanego miasta
Złote topazy jasnych, znanych szyb.

Gdy noc zapada, nieznany nikomu,
Skrywszy się tutaj w pierwszą lepszą sień,
Śledzę jak w oknach mego z przed lat domu
Znaczy się, droga, twój oraz mój cień.

O dobry chłopcze! O mój „ja" z przed laty!
Niech cię miłosna upoi dziś moc.
Nie wychodź do mnie, bo tu ja na czaty,
Ja, przyszłość twoja, przychodzę co noc..."

(„Wspomnienie").

A w innym znowu wierszu („Pieśń przedwiosenna") jak suggestywny jest obraz „pobitego w życiu weterana", przechodnia „w wytartym surducie" („o twem osamotnieniu świadczy brak guzika"), kiedy poeta na szyderstwa ludzkie każe mu reagować nagłym, powrotnym odruchem „młodzieńczej dumy":

„Wówczas po dachach, szybach, na powierzchniach [kałuż
Blask królewskich festynów księżyc ci zapala...
O tak! Kapelusz z dumą na tył głowy nałóż,
Korowód z pochodniami już cię wita zdala.

A mocny wiatr kwietniowych, przedwiosennych nocy,
Ożywczy niby strumień zimnej, czystej wody,
Na cześć twoich nadziei i młodzieńczych mocy
Natchnionym hymnem miejskie napełnia ogrody".

Warto zauważyć ustawicznie powtarzający się motyw: ogrodów i miasta. Po Stanisławie Miłaszewskim, który z niezwykłą wynalazczością i odwagą jeszcze w epoce przedwojennej („Gest wewnętrzny", 1911) wprowadzał do liryki swej takie tematy jak np. „Pieśń słupów telegraficznych",—Przysiecki również, zanim zaczęła szerzyć się moda na „poezję urbanistyczną", tomik swych wierszy poświęcił w całości współczesnym miejskim pejzażom i nastrojom. W tej dziedzinie raz po raz zadziwia czytelnika świeżością i prawdą swych spostrzeżeń, porównań, metafor:

„Już z dali lśnią wieczorne światła w oknach miasta,
To sieć sygnałów życia błyszczy w sinej mgle..."

Albo:

„I woła na mnie za tobą tęsknota,
Jak nocą brzmiący lokomotyw świst..."

---

[1]) Feliks Przysiecki: „Śpiew w ciemnościach", Warszawa 1921, Tow. Wydawnicze „Ignis".

Albo:

„Smętek dachów blaszanych... Czerwone kominy,
Zapatrzone w podniebny lot jaskółczych stad...”

I tu nasuwa się pewna refleksja ogólniejsza, dotycząca „poetów - urbanistów” i ich usiłowań. W mieście, tak samo jak i wszędzie, źródłem bezpośredniem nastrojów poetyckich jest zawsze przyroda: światło, atmosfera i t. d. Promień słońca, przezierający się w szybach kamienic, jest takimż cudem, jak odbity o tafle jeziora czy oceanu; mgły poranne nad dworcem kolejowym są równie przejmujące i tajemnicze, jak te, co kryją oparami kwietne łąki lub czepiają się górskich przełęczy. A, z drugiej strony, szukanie natchnień np. w technice asenizacyjnej miast nowoczesnych, jest tyleż warte, co i poezja wiejska na temat — przypuśćmy—użyteczności drenowania.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga, nader istotna: miasto Przysieckiego to nie jakaś nieokreślona, „syntetyczna” Metropolis, opiewana przez urbanistów, ale konkretna całkiem„ młodości jego stolica”, oglądana w pełnem wzruszenia przypomnieniu. Owo „kochane miasto”—to Lwów, chociaż nigdzie z imienia nie nazwany, ale jakże żywy w pamięci ze swemi licznemi ogrodami, światłem latarń gazowych wśród rzędów kasztanów, kałużami wzdłuż rozmokłych po deszczu ulic. Przez swe liryki powiększył Przysiecki długi i świetny szereg piewców Lwowa—od Klonowicza i Zimorowicza do Maryli Wolskiej, oraz tylu innych jeszcze, w ciągu wieków... „Śpiew w ciemnościach” w tym skarbcu darów, składanych przez poetów kresowemu miastu, jest klejnotem jednym z najcenniejszych.

— — — — — — — — — — — —

W nastroju zaduszkowym, z uczuciem melancholji zastanawiam się nad tą najświeższą dzisiaj mogiłą literacką[2]). Będzie to dla potomnych świadectwem barbarzyństwa kulturalnego naszej epoki, iż jednostki o duszach naprawdę poetyckich schodziły w grób, mało znane, mało napisawszy: Tadeusz Newlin-Wagner, Wiktor Popławski, Feliks Przysiecki... Żyli w czasach sprytnych niepoetów, gdy efekciarstwo uchodziło za natchnienie, orjentalna krzykliwość za siłę wyrazu. Żyli w dobie wszechmocy reklamy...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

POLITYKA OBECNA W DZIEDZINIE SPRAW KULTURY doczekała się dosadnej krytyki ze strony prof. St. Kołaczkowskiego. Zamieścił on w ostatnim zeszycie „Marchołta” artykuł p.t. „Organizacja kultury w Polsce“, w którym—jeśli chodzi o rzeczy konkretne kultury, wypowiedział uwagi zupełnie słuszne i na czasie. Trochę inaczej przedstawia się ta rozprawa ze względu na punkt wyjścia i na jej charakter polityczny.

Skierowana głównie przeciwko polityce „kulturalnej” braci Jędrzejewiczów, prawo śmiałego głosu znalazła w oparciu prawomyślnem o dwie legendy. Żeby wiara w pierwszą nie była gołosłowna, potrzebna była druga legenda o „endecji”, wykazać się bowiem nienawiścią do endecji starczy za uczynek, bez którego wszelka wiara jest martwą.

Prof. Kołaczkowskiemu „narodowość”, jako fakt przyrodzony, potrzebna jest do uzasadnienia swoistości kultury, a przekonywa obóz walczący z ideą narodu (żydów, masonerję i opierającą się o te żywioły klikę), jakby tu chodziło jedynie o kwestję poznawania (wiedzy), że „naród” ma istotnie swój byt realny. Jakby nie wiedział, że ten obóz doskonale wie o tem i dlatego właśnie ten „byt” zwalcza, aby go rozchwiać. Nie jest to gra pojęć, lecz dążeń i dlatego ta sprawa należy do dziedziny politycznej, nietylko do dziedziny kultury umysłowej. Dlatego w życiu prawdziwem (nie doktrynersko - literackiem) potrzebni są nietylko ludzie wiedzący o istnieniu narodu, ale przedewszystkiem ludzie, domagający się, aby polityka (twórczość państwowa) wyciągała z wiedzy o istnieniu narodu konsekwencje i chciała byt państwa na tym bycie narodowym oprzeć, jednem słowem by prowadziło ono politykę państwa narodowego. Z tworów społecznych państwo jest dziełem kultury najwyższem; nietylko literatura z przyrodzenia musi być narodowa, ale i państwo musi być narodowe.

Nieuznawanie tych prostych rzeczy jest dowodem braku kultury politycznej, niestety pospolitym w sferach humanistów pewnego pokroju. Ale brakiem dogodnym, bo dającym możność zawierania kompromisów kulturalnych w sprawach pochodnych z pominięciem najdrażliwszej rzeczy zasadniczej. I jeszcze stąd tytuł chwały, że się jest wrogiem „endecji”. Dla „narodowości” (tak p. K. nazywa sprawę narodu tworzącego) poświęcić należy w potrzebie wszystko, nawet życie — taki jest nakaz patrjotyzmu, jeśli ten wyraz ma być brany na serjo. Poświęcić też byłoby chyba najłatwiej obłudę.

RADOSNA TWÓRCZOŚĆ. W „Kwartalnym biuletynie informacyjnym”, wydawanym przez delegata Ministra W. R. i O. P. do spraw ochrony przyrody (nr. 4 z paźdz. 1935) podano zestawienie dokumentów i faktów, ilustrujących moralną i polityczną „trasę” kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Pierwsze dwa dokumenty dotyczą układu z Czechami w sprawie rezerwatu w Tatrach. W myśl opinji ministra w grudniu 1925 r. na konferencji w Krakowie delegatów Akademij Umiej. polskiej i czeskiej uchwalono: „Wysoce szkodliwe, a pod względem gospodarczym nierealne i niedopuszczalne są jakiekolwiek kolejki szczytowe we właściwych Tatrach”.

Dokumenty III—VI z lat 1929—1933 są dowodami, że rząd polski zasilał pieniężnie pracę nad urządzaniem Parku Narodowego i kupował na ten cel grunta.

Ale już w r. 1934 Rada ochrony przyrody zabiega u rządu, aby nie zezwalał na budowę kolejki, o której krążą pogłoski. Pomimo to, już w kwietniu 1934 r. zaczęto wycinać linję leśną dla kolejki. Co nie przeszkadza, że 13 maja t. r. wchodzi w życie ustawa o ochronie przyrody.

W czasie od 26.I.1934 do końca 1934 r. przeciwko kolejce uchwaliły protesty (znane rządowi)

[2]) Ś. p. Feliks Przysiecki urodził się w r. 1884 we Lwowie, zmarł dn. 20 października r. b. w sanatorjum miejskiem w Otwocku. Pochowany w Warszawie, na Cmentarzu Powązkowskim.

94 towarzystwa i instytucje naukowe, krajoznawcze, turystyczne. W okresie 1934 — 35 r. ukazało się w prasie 390 protestujących artykułów i notatek w 91 pismach.

W dn. 24 lipca 1935 r. zawarta została w Warszawie spółka „Tow. budowy i eksploatacji kolei linowej Kuźnice—Kasprowy Wierch", a już 26 lipca starosta w Nowym Targu wydał orzeczenie o zajęciu gruntów u szeregu właścicieli „celem przeprowadzenia prac przygotowawczych do budowy kolejki". W dn. 1 sierpnia już rozpoczęto budowę.

W dn. 13 sierpnia ustąpił ze swego stanowiska delegat Ministra do spraw ochrony przyrody i jednocześnie złożyli mandaty do rąk Ministra Oświaty wszyscy członkowie Państwowej Rady ochrony przyrody.

W sprawie tej dotąd nie było żadnej enuncjacji ze strony Rządu, motywującej fakt dokonany. Jedynie organy sanatora Marjana Dąbrowskiego zamieściły w ostatnich czasach 49 artykułów, domagających się budowania kolejki. Ale, jak wiadomo, p. Dąbrowski buduje na Kasprowym Wierchu hotel, który będzie interesem rentownym i dla którego kolejka jest potrzebna. Oczywiście ma wspólników. Kolejka będzie przedsiębiorstwem deficytowem, dlatego p. Dąbrowski i jego wspólnicy w budowie jej nie biorą udziału. Plan pokrywania deficytów już jest ułożony. Grecja płaci...

Bardzo dziwne jest zachowanie milczenia w tej głośnej sprawie ze strony czynników miarodajnych. Przecież jeśli chodzi o ochronę przyrody, tak odległej jak wieloryby na oceanach, ukazały się w tych czasach dwa „Oświadczenia rządowe" podpisane przez p. min. Becka: 1) z 19-go czerwca 1935 r. w sprawie przystąpienia Ekwadoru do konwencji o uregulowaniu połowu wielorybów, 2) z 24-go sierpnia 1935 r. w sprawie ratyfikowania tej konwencji przez Francję.

Nas w Polsce oczywiście bardzo to interesuje, ale więcej jeszcze to interesuje, jakie to wieloryby obławiają się u nas w Tatrach.

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Ukazał się nowy zeszyt „Marchołta" kwartalnika, poświęconego sprawom literatury i kultury pod redakcją prof. Stefana Kołaczkowskiego (zesz. 5). Z rozpraw na uwagę zasługują: Bogdana Suchodolskiego część I studjum nad humanizmem współczesnym, „Irwing Babbitt", Zygm. Łempickiego „Literatura — poezja — życie", St. Kołaczkowskiego „Organizacja kultury w Polsce", Cz. Białobrzeskiego „Nauka ścisła o przyrodzie na tle ogólnych wartości kultury", Kaz. Molendzińskiego „W oczekiwaniu nowej legendy malarstwa polskiego", A. Stawarskiego „Z zagadnień pluralizmu". Pozatem bogaty dział przeglądów z filozofji i literatury.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

J. Samsonowicz. „Objaśnienie arkusza Opatów", z 2-ma fig. w tekście i 3-ma tablicami. Zeszyt I. Z fragmentem mapy geologicznej Polski. Warszawa. Państwowy Instytut Geologiczny.

Autor wziął za przedmiot swego studjum obszar „arkusza" Opatów, wraz z sąsiadującym od południa arkuszem Sandomierz, t. j. wschodnią, równienną częścią gór Świętokrzyskich. Studjum to, poza rezultatami ścisłych, ujętych w terminologję geologiczną badań i ich ogólnonaukową wartością, ma praktyczne znaczenie dla dalszego rozwoju górnictwa i przemysłu hutniczego. W trzecim rozdziale książki p. t. Kopaliny Użyteczne, podaje układ i zawartość złóż kopalin. A więc węgla brunatnego, torfu, marglu, łupków bitumicznych, rud żelaznych, złóż pirytu, złóż fosforytowych i surowców ceramicznych. A dalej złóż materjałów budowlanych, t. j. skał, wapieni i piasków. Słowem, ukazuje w szczegółowych wymiarach podziemne bogactwa Polski, z zaznaczeniem imiennem miejscowości, w których materjały te są wydobywane dla fabryk i budownictwa. W tej podróży podziemnej niezmiernie ciekawa jest użytkowa, celowa klasyfikacja kopalin.

Więc, naprzykład pod Przepaścią wydobywany jest z rozległych łomów wapień oksfordzki, używany na budulec we wsiach okolicznych. Na prawym brzegu Wisły, pod Opoczką i Opoką wielkie łomy dostarczają skał do regulacji Wisły. Istniejące od kilkuset lat łomy pod Ożarowem i Janikowem dają skałę jako materjał rzeźbiarski na pomniki. Jeden obszar za drugim obfituje w coraz inne podziemne skarby.

Studjum prof. J. Samsonowicza gruntowne, opracowane dla celów geologji naukowej, może być interesującą lekturą ogółu czytelników. (A. W.)

*

„Stan posiadania ziemi na Pomorzu", II „Zagadnienia geograficzne i gospodarcze". Toruń 1935, str. 254, 12 mapek i mapa w kolorach, 10 tabel. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego w Warszawie.

W powyższej pracy zbiorowej, stanowiącej XXIII tom Pamiętnika Instytutu Bałtyckiego znalazła oświetlenie geograficzno-ekonomiczna i narodowościowa strona współczesnego osadnictwa na Pomorzu. Tym niezwykłej wagi problemom, od których w przeważnej mierze zależy rozwój i znaczenie osadnictwa dla przyszłości kraju, zostały poświęcone referaty: Prof. dr. St. Pawłowskiego: „Osiedla wiejskie na Pomorzu pod względem geograficzno-osadniczym i narodowościowym", gdzie autor wypowiedział szczególnie ciekawe uwagi odnośnie charakterystyki form osadnictwa pomorskiego i jego oblicza narodowościowego. Dr. Marji Kiełczewskiej: „Typy i rodzaje osiedli wiejskich na Pomorzu", gdzie autorka zajęła się specjalnie osadnictwem skupionem i rozproszonem. Prof. dr. Bogdana Zaborskiego: „Osiedla wiejskie Pomorza". Doskonały znawca kształtów i typów osiedli w Polsce dał w tej rozprawie charakterystykę osadnictwa pomorskiego pod tym względem. Wreszcie referaty dr. Antoniego Wrzoska i dr. Walentego Winida traktują o własności ziemskiej na Pomorzu według narodowości i o wielkiej własności na Pomorzu pod względem narodowościowym. Przy referacie dr. Wrzoska zwraca uwagę mapka, ilustrująca polską i niemiecką własność ziemską na Pomorzu w procentach ogólnej powierzchni gmin przy pomocy barw. Zagadnienia, poruszone w referatach, uzupełnia szczegółowy protokół obrad IV Naukowego Zjazdu Pomorzoznawczego, który odbył się w Krakowie w listopadzie 1934 r.

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE

SZÓSTY NUMER zamyka pierwsze półrocze żywota miesięcznika „Arkady". Mam przed sobą właśnie dwa ostatnie zeszyty: 5 i 6-ty.

Numer 5-ty rozpoczyna artykuł o kominku. Kominek, zdaje się, wraca znowu do łaski i jeśli nie zobaczymy go w najbliższej przyszłości wszędzie tam, gdzieby mógł być, to nie z racyj artystycznych bynajmniej. Chciałaby dusza do raju, lecz puste kieszenie nie puszczają. To też ten fragment architektoniczny wnętrza, do którego wielu nie zatraciło sentymentu, jest dziś dostępny dla ludzi względnie zamożnych. Ilustracje załączone do artykułu pokazują współczesne próby rozwiązania kominka, przyczem niektóre z nich uwzględniają częściowe zastosowanie materjału zabytkowego, np. starych kafli. Jeden jest obramowany półkami na książki. Już to trzeba przyznać, że współcześni architekci wykazali dużo inicjatywy w łączeniu miejsca na książki z jakimś szczegółem architektonicznym, lub sprzętem, np.: tapczanem (związanie półek z biurkiem było już dawniej znane). Oczywiście te półki w pobliżu ko-

minka nie mogą być przeznaczone na książki w cenniejszych oprawach, gdyż nadmierna ciepłota mogłaby im zaszkodzić.

Oglądamy również na jednem ze zdjęć kominek w... ogrodzie, w Kalifornji. Tu już mistycyzm ognia przybiera całkiem inną postać — płomień, wyprowadzony z wnętrza, staje się czemś innem.

Ten sam numer zaznajamia nas, przy pomocy fotografij, z urządzeniem i dekoracją wnętrza M/S „Piłsudski". Wszystko jest tu dziełem polskich artystów i polskich wytwórni (lwia część przypada na „Ład"). Wnętrza ozdabiają obrazy i grafika. Z tych względów M/S „Piłsudski" jest pływającą wystawą plastyki polskiej; służąc podróżnym, pełni jednocześnie rolę propagandową. Na szczegółową analizę wartości estetycznych i praktycznych wnętrz statku niema tu miejsca, trzeba tylko podkreślić, że ograniczenie wysokości sumy, przeznaczonej na te wnętrza, w niczem nie zaszkodziło, a może i przydało się—nie szafowano tym niesmacznym nowobogackim przepychem, od którego nie potrafiły się ustrzedz inne narody, budując wielkie okręty dla linji Europa—Ameryka. Wnętrza na na naszym statku są spokojne i szlachetne, można mieć tylko zastrzeżenia co do niektórych mebli. Katalog dzieł sztuki, znajdujących się na okręcie, opracował L. Niemojewski.

Z dzieł współczesnej architektury oglądamy w „Arkadach" willę w Komorowie, arch. Jana Bogusławskiego. P. Bogusławski ma poczucie proporcyj, a dopiero ta właściwość czyni z architekta artystę. To też willa jego projektu sprawia wrażenie b. przyjemne. Rozważania K. Prószyńskiego o zagadnieniu obrazu na ścianie wydają mi się zbyt rygorystyczne, a poglądy nieco spóźnione. Obraz, który wygląda jak tkanina lub kilim, powinien być utkany, malowidła z takiej kompozycji nie należy robić, a tembardziej wieszać je na ścianie. Pozatem w obrazie nie szukamy jedynie zespołu przyjemnych barwnie plamek.

W tym samym numerze arch. Sienicki kończy swój artykuł o polskich meblach z Kolbuszowej. Reprodukcje z wystawy „Państwowej Szkoły Sztuki Zdobniczej" w Poznaniu, dobrze świadczą o jej poziomie.

Nr. 6 „Arkad" rozpoczyna Cz. Olszewski, przypomnieniem nieodżałowanej postaci wielkiego artysty — Noakowskiego. Po odczuciu bolesnem straty, poniesionej z jego zgonem, po projektach stowarzyszenia im. St. Noakowskiego, nastąpiła cisza. Aż do dni dzisiejszych. A właśnie w październiku zmarł ten Polak o wielkiem sercu.

Zeszyt 6-ty poświęcony jest w części architekturze schronisk i szałasów narciarskich. Współczesne życie wytworzyło ten typ budownictwa, architekturę sportową, jeśli tak można się wyrazić. Schronisko górskie, lub też dla kajakowców, jest domem, który ciągle zmienia lokatorów, to też surowa prostota, wybitne cechy użytkowości i brak pewnej zaciszności (*my home*), który cechuje niektóre dzieła architektury współczesnej, są tu bardziej na miejscu.

T. M. Narolewski daje krótki zarys historji koronkarstwa, który ma wyprzedzać dzieje koronki polskiej. To piękne rękodzieło wchodzi w okres odrodzenia; przetrwało wśród ludu, w miastach wyparte fabrykatem maszynowym. Koronki ludowe, ręczne, wyrabiane na zbyt przeważnie w postaci serwetek, mają tyle szlachetności i stylu, że harmonizują nawet z najcenniejszym meblem zabytkowym. Zawodowe żeńskie szkoły rękodzielnicze, które uczą koronkarstwa, nie mogą wydołać zamówieniom. Ten fakt świadczy wymownie o podniesieniu poziomu upodobań w naszem społeczeństwie i roli, jaką w tem odegrali nasi artyści-pionierzy sztuki dekoracyjnej.

Wystawa drogowa, o której „Arkady" również wspominają, dała możność całkowitego wypowiedzenia się naszym młodym architektom i grafikom użytkowym, gdyż mieli tu swobodę w takim zakresie, jakiej nigdy prawie nie uzyskują w stosunkach z prywatnym klijentem, często o nader wątpliwym „guście".

Pewnem nieporozumieniem w „Arkadach" są artykuły p. Wandy Telakowskiej, artykuły o charakterze wyraźnie szkolnym i odpowiednie raczej (może po zrewidowaniu kilku naiwnych poglądów) do podręczników szkolnych, gdyby nie ich okropna, chwilami, polszczyzna. P. Telakowska pisze: „Umiejętność operowania kolorem nie powinna wisieć w sferze oderwanego estetyzmu". Kto tu powinien wisieć — nie powiem, przez szacunek należny damom. W innem miejscu czytamy: „Kontemplacja przedmiotów sztuki musi być podbudowana rozważaniami zagadnień plastycznych".

Trzeba nietylko „umieć patrzeć", panno Wando, ale także nauczyć się pisać.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

FILHARMONJA. Jeśli się już człowiek taszczy po świecie z wiolonczelą, to zarazem z koncertem Dworzaka w zapasie. Nieodłączna to partytura, prawie że konieczna, mająca nieledwie coś z monopolu. Repertuar wiolonczelowy jest, jak wszyscy doskonale i od dawna wiemy, niezwykle ubogi i wyboru wirtuoz wielkiego niema. Aż dziwne. Zrozumiałaby była jeszcze niechęć ku temu instrumentowi w okresie muzyki klasycznej, dlaczego jednak obszedł się z nim po macoszemu okres romantyczny, co to melodji opartej na uczuciu tyle dał miejsca — tego doprawdy zrozumieć nie bardzo można, jak również i wyników muzyki najnowszej. Sonata Zoltana Kodaly'ego nie ratuje sytuacji. W naszej literaturze mamy wprawdzie niezwykle cenne dzieło Maklakiewicza, ale na koncercie symfonicznym — można być zupełnie pewnym — usłyszy się jedynie Dworzakowy *opus* 104.

Grał go tym razem Enrico Mainardi najwybitniejszy współczesny wiolonczelista, obok oczywiście Pabla Casalsa oraz Grzegorza Piatigorskiego. Co w nim uderza przedewszystkiem, to ton głęboki, aczkolwiek pozbawiony histerycznego liryzmu, który aż się wstrętnie doprasza wszelkiemi możliwościami instrumentu, kusi i wciąga muzyków w krąg nieznośnego, ckliwego banału. W utrzymywaniu należytego dystansu, zdala od niebezpiecznego przeczulania się, trzyma artystę niezwykłe poczucie rytmu, poparte naprawdę zdumiewającą techniką.

Tak się złożyło, że w programie Dworzak sąsiadował z Brahmsem, jego IV-tą symfonją *e — moll.* Jakże zdumione były głosy, znajdujące pokrewieństwo między odegranemi w piątek utworami obydwu kompozytorów. Brahms i Dworzak? Ależ tak, i przecież... nic dziwnego; młody Czech był uczniem wielkiego kompozytora i aż do chwili, gdy się dostał w orbitę wpływów Seidla, który mu ukazał w sposób przekonywający postać Wagnera, znajdował się niemal niepodzielnie pod wpływami swego nauczyciela. Świetny to był nauczyciel, miary nieprzeciętnej. Mało może sobie jesz-

cze zdajemy sprawę z wartości i znaczenia jego zwrotu ku muzyce klasycznej, z jego żywej, zdecydowanej reakcji. Brahmsa zalicza się zwykle do największych twórców romantycznych. Miałbym ochotę podyskutować właśnie na temat tego romantyzmu, chociaż przyznaję, że w końcu zgodziłbym się na przyjęty już ogólnie termin. Bo jednak duch czasu stanowi coś, czego przezwyciężyć nie sposób. Chyba, że się siłą swej indywidualności narzuci nową epokę.

Wieczór uzupełniał Ryszard Strauss. Jakżeby mogło być inaczej! Strauss jest od paru lat wybitnie uprzywilejowaną postacią stołecznej Filharmonji. Złośliwi twierdzą, iż to jeszcze jeden z dowodów oficjalnej przyjaźni polsko-niemieckiej, który odczuwamy na własnej skórze i że to rekompensata za to, iż kiedyś, przed laty nie chciano w Warszawie grać... Karłowicza i Szymanowskiego. Nie pragnę tu ani trochę uchybić wartości wybitnego kompozytora, którą z całą pewnością należycie pragnę ocenić, tylko czy aby nie za często, z krzywdą repertuaru, umieszcza się go w programie? Mamy dopiero początek sezonu, a już głos mój w tej sprawie nie jest głosem pierwszym. Co gorsze, odnoszę wrażenie, że i nie ostatnim...

„Don Juan“ w interpretacji Walerjana Bierdjajewa wypadł bardzo dobrze. Mocna, wyraźna treść, bogactwo środków wyrazu, wszystko to doskonale wiązało się z rodzajem, gatunkiem natury, jaką reprezentuje artysta, ulegający z chęcią doznawanemu wrażeniu, poddający się suggestji wykonywanego utworu i przenoszący ją, z kolei, siłą swego dyrygenckiego władztwa, na grający zespół. W wyniku otrzymujemy pokaz blasku Straussowskiej sztuki, a przedewszystkiem całej dozy uczucia, które zaklął w cykl swoich poematów.

W SOBOTĘ, 26-go, odbył się w nowootwartej sali im. Karłowicza (Warszawskie Towarzystwo Muzyczne) pierwszy inauguracyjny koncert, zorganizowany staraniem „Polskiego Towarzystwa Muzyki Współczesnej”. Jest to jeden z najradośniejszych faktów w polskiem życiu muzycznem. Muzyka współczesna mieszkała dotąd kątem w naszym repertuarze sztuki odtwórczej. Zrzadka, uznając nienormalność całej sytuacji, użyczało jej miejsca Stowarzyszenie Miłośników Dawnej Muzyki, zrzadka, bo przecież zasadniczo inne zadanie mu przyświeca. Dzisiaj mamy już wreszcie placówkę poświęconą pracy żywej, miejsce, które stanie się niewątpliwie podnietą dla wysiłku młodych. Obszerne omówienie tego faktu odkładamy do numeru następnego, Dzisiaj tylko streszczamy przebieg pierwszego wieczoru.

Świetne, przekonywające słowo wstępne wypowiedział prof. Zbigniew Drzewiecki, poczem odegrano drugi kwartet Szymanowskiego. Następnie Jan Ekier odegrał szereg kompozycji własnych. Dalej wykonano wyjątek z drugiego kwartetu M. Neuteich, parę drobnych utworów Perkowskiego i Palestra, wreszcie znaną „Małą kantatę dziecięcą“ Bolesława Woytowicza w interpretacji pp. Kamińskiej, Skwarczewskiej i Szafrańskiej pod dyrekcją Kaz. Lewickiego.

Utwory kameralne wykonał Warszawski Kwartet Smyczkowy.

W. NARUSZ

FILM

EUROPA: „Noc weselna”, reż. King Vidor, wytwórnia Paramount.

Że Rosja (carska) była i jest modnym tematem w królestwie filmu, Hollywood, o tem każdy wie. Coprawda nas, sąsiadów, lepiej obeznanych z obyczajem rosyjskim, często te relacje filmowe amerykańskie śmieszyły, ale amerykanom wcale o ścisłość nie chodziło. Dla nich Rosja to przedewszystkiem pewnego rodzaju egzotyka. Bo przecież nie zależało im tylko na sfilmowaniu dobrych powieści rosyjskich, ostatecznie dobra beletrystyka nie jest wyłączną specjalnością Rosjan.

Polska, jak dotychczas, w Hollywood nikogo nie zainteresowała, a przecież można było znaleźć temat dla obu narodów ciekawy, z postacią Kościuszki i Pułaskiego. Niestety, te dwa nazwiska znalazły raz w filmie zastosowanie, ale w jakich okolicznościach! Oto w jednym z nich nazwano tak dwa „czarne charaktery”, oszusta i złodzieja.

Dopiero, gdy rząd polski cofnął tej wytwórni prawo wyświetlania u nas jej utworów i w ten sposób łobuzerja z branży filmowej dostała po łapach, zrozumiano, że co zanadto, to niezdrowo.

W „Nocy weselnej” pokazano po raz pierwszy Polaków i polskie środowisko, kolonistów w Ameryce, w sposób dla nas sympatyczny i pochlebny. Oprócz rysunku charakterów głównych postaci, reżyser usiłował także odmalować tło, pokazać odmienny (dla nich) obyczaj. Malowidło tła wypadło właśnie najgorzej. Amerykanie widzieli w niem zapewne również egzotyczność. Ubrali aktorów w zgoła fantastyczne sukmany, spodnie, spuszczone w buty z cholewami, a na spodniach, tuż nad kolanem—parzenice. Dzieci nie siadają ze starszymi do stołu: dopiero gdy starsi wstaną, rzucają się, by spałaszować resztki. Bohaterka, Mania przyrządza młodemu Amerykaninowi na śniadanie niby narodową potrawę, nazwaną „gorące ciastko” (zdaje się, że to ma być omlet).

Na tym terenie, trochę cudacznym, występują jednak figury naogół nam miłe i sympatyczne, a bohaterka filmu Mania, jest b. pięknym typem młodej dziewczyny. Nieraz Amerykanom przypisujemy energję i tężyznę, przynajmniej życiową, jeśli nie moralną, a tu, w tym filmie amerykańskim, oni—dzielność i pracowitość Polaków swoim stawiają za wzór. Jest to historja znanego pisarza, Amerykanina, który z powodu pijaństwa i niewłaściwego otoczenia zaniedbywał się coraz bardziej i pisał coraz gorzej. Na wsi, dokąd pojechał, by pracować nad nową powieścią, obserwuje życie polskich kolonistów. Ich praca, skrzętność, zapobiegliwość natchnęły i jego do pracy, czuje się teraz jak odrodzony, a młoda dziewczyna Mania staje się jego prawdziwym dobrym duchem.

Scenarjusz jest interesujący i niebanalny, a całość zmontowana przez reżysera zbyt doświadczonego, by mogła zawierać jakieś poważniejsze usterki. Może tylko trochę za wiele treści, jak na film, mieści się w djalogach, a nie obrazach, co zbliża go w tych momentach do teatralnego sposobu przeprowadzania akcji.

Aktorzy wypowiadają kilka zdań po polsku (weselnicy śpiewają: „Chałupeczka nizka...”) Oczywiście, wymowa tych słów nie jest idealna, co śmieszy publiczność w kinie. Mnie osobiście to nie śmieszyło, raczej doznałem miłego wzruszenia. Należy być wdzięcznym za dobre chęci.

W rolach głównych: Gary Cooper i Anna Sten.

CASINO: „Dziewczę z Budapesztu”, reż. Turzański.

Wiedeńskie komedje filmowe, będąc dobrym typem utworów rozrywkowych, posiadają zarazem zaletę nie do pogardzenia: umiar i smak w ujęciu tych fragmentów które w niewłaściwej reżyserji mogłyby razić drastycznością. Akcja obraca się nieraz wokół tematów t. zw. śliskich: stary lampart czyha na cnotę młodej panienki, młoda osóbka uwodzi dorosłego mężczyznę, dancingi, bachanalje, aktorki... wszystkie te „okropności” malowane są jednak delikatną barwą pastelową i z poczuciem humoru, bez szarży, tak, iż w rezultacie film jest całkiem niewinny. Nasi filmowcy, którzy teraz na potęgę ściągają z komedyj wiedeńskich, niechże zwrócą także uwagę na ten umiar wiedeńczyków.

W „Dziewczęciu z Budapesztu” scenarjusz jest zręczny i zabawny (oczywiście komedja omyłek i nieporozumień), a pozatem film posiada także zalety wyraźnie artystyczne. Mniej tu teatru, niż w innych utworach tego rodzaju, a więcej treści esencjonalnej, pod względem wizualnym. Akcja nie toczy się wyłącznie we wnętrzach (wada filmów podobnego typu), część jej rozgrywa się w plenerach, a część za kulisami teatru, które są zawsze fotogeniczne. Reżyserja odznacza się znakomitem dozowaniem efektów, zwłaszcza w scenach komicznych, ciągłą dbałością o zmienność zawartości plastycznej ekranu i kilku oryginalnemi pomysłami montażu.

Artystycznie pomyślana jest scenka, gdy amant prosi śpiewaczkę o schadzkę, a odpowiedź jej widzimy z miny odbitej w lustrze.

Muzyka Fr. Lehara. W roli głównej dobra śpiewaczka Marta Eggerth.

KANDYD

POKŁOSIE

KTO WINIEN?

PARLAMENTARNEMU systemowi rządzenia zarzucają słusznie, że sprzyja rozpływaniu się odpowiedzialności za to, co się stało lub dzieje. Wszystko odbywa się pod hasłem i auspicjami uchwał i postanowień jakiejś bezosobowej większości, wszędzie zamiast odpowiedzialnego aktora podstawia się jakaś komisja i w rezultacie szukaj wiatru w polu; nigdy nie wiadomo, komu się zawdzięcza jakiś pasztet i kogo do odpowiedzialności, chociażby tylko moralnej, pociągnąć. Rządy t. zw. autorytatywne mają przynieść pod tym względem zmianę na lepsze, gdyż za władzą idzie konsekwentnie odpowiedzialność.

Obóz rządzący u nas, parlamentaryzmowi przeciwny, robił przez jakiś czas minę, jakoby rzeczywiście odpowiedzialności się nie bał i chętnie ją na swe barki przyjmował. Kiedy jednak przyszedł rzeczywiście czas porachunku, kiedy jasne się stało, że dalsze, ulubione w dawnej Austrji *„fortwursteln"* jest niemożliwe, gdyż gospodarka zabrnęła zbyt głęboko w trzęsawisko, to jakoś nic o odpowiedzialności nie słyszymy, przeciwnie, odbywa się wyraźna próba podzielenia się tą odpowiedzialnością z ogółem, z tem odsuwanem dotychczas od wszelkiego wpływu społeczeństwem. Bo jakże inaczej można rozumieć te dzisiejsze apele do społeczeństwa, którym nie towarzyszy żadne *mea culpa?* To zaniedbanie wskazania winnego w obszernych dyskusjach dziś toczonych musi jednak być uzupełnione.

P. I. Matuszewski pisze w „Gazecie Polskiej": „Minister Kwiatkowski powiedział, że nie wystawia weksla *in blanco*, lecz weksel wypełniony ścisłemi danemi. Jeżeli zdanie skromnego publicysty, który nie rozporządza żadnemi wpływami, prócz tych, jakie dać może pióro, nie wahające się pisać prawd nawet niemiłych — jeśli zdanie takiego publicysty mieć może walor — w takim razie na gospodarczym wekslu programowym, wypełnionym przez rząd — kładę moje żyro". Wiersze pełne skromności, może nawet przesadnej, jeżeli się zważy, że dzisiejszy „skromny publicysta" nie przypomina o tem, że był kiedyś ministrem skarbu, współtwórcą systemu, który nas do dzisiejszego stanu doprowadził.

Inny znów skromny dziś publicysta, lecz niedawno jeszcze wice-minister spraw wewnętrznych, specjalista od spraw samorządowych, pisze w tym samym organie rządowym: „Wydatki personalne wszystkich komun, łącznie z zakładami i przedsiębiorstwami, sięgają ćwierć miljarda złotych rocznie. Procent wydatków administracyjnych w porównaniu z ogólnemi wydatkami budżetowemi sięga w gminach wiejskich 40, a nierzadko 50 i więcej. Przeciętna w miastach i powiatach jest znacznie mniejsza, ale nie dajmy się zwieść przeciętnej; w poszczególnych miastach nierzadko procent ten wynosi 30 i więcej, w powiatach niekiedy 25 i więcej. I niejeden związek samorządowy jakby po to tylko istniał, aby utrzymać administrację"... I tu też niezbędna jest odpowiedź na pytanie, kto tak w tych samorządach gospodaruje, że wielką część swych środków zużywają na utrzymanie swej administracji, a w dodatku według tego samego rzeczoznawcy „realizują swoje zadania na tak niskim poziomie, że nie może on usprawiedliwić racji ich istnienia". Jeżeli sobie przypomnimy zaciętą walkę, jaką obóz rządzący toczy z każdym przejawem samodzielności samorządów, i jak dalece je sobie podporządkował, to wskazać winnego nie będzie znów tak trudno.

P. min. Kwiatkowski wskazał sejmowi na to, że „aparat kredytowy ograniczyć musiał do *minimum* obsługę potrzeb kredytowych społeczeństwa i gospodarstwa prywatnego, a budżet państwowy wzrastał silnie i automatycznie w dziale obsługi zadłużenia państwowego. Tak więc mimo powagi korzyści, wynikających z dewaluacji głównych walut, z któremi związane są nasze pożyczki zagraniczne, udział obsługi długów państwowych wzrósł z 2% w budżecie 1926 r. na 8 i pół procent w r. 1935". A więc więcej niż czterokrotnie! Zadłużenie wewnętrzne w ciągu jednego roku 1934 wzrosło o przeszło 50%, co w liczbach absolutnych wyraża się się sumą prawie 600 miljonów złotych. Ale przecież nie jeden tylko ten rok mieliśmy deficytowy, deficyt stał się chroniczny oddawna i dziś panuje zgoda co do tego, że to właśnie nie pozwoliło się nam dźwignąć z kryzysu. Można się przecież powołać na zdanie ekonomistów obozu rządzącego, jak np. prof. A. Krzyżanowski. Był on swego czasu referentem budżetu w sejmie, doszedł do przekonania, że deficyt budżetu staje się zjawiskiem stałem i groźnem, usiłował się przeciwstawić lekkiemu traktowaniu tej sprawy, lecz bez skutku. Musiał złożyć referat budżetu, a następnie złożył również i mandat poselski. Niedawno wygłosił odczyt, w którym uwydatnił powtarzające się kilkakrotnie polepszenia konjunktury finansowej, które jednak minęły bez skutku i śladu na naszem położeniu, i to właśnie dlatego, że korzyści z nich wyciągnął tylko skarb, zaciągając pożyczki wewnętrzne na pokrycie deficytu. Kapitały, które wychylały się z ukrycia wskutek dewaluacji funta i dolara, pochłonięte zostały przez skarb, zamiast ożywić obrót gospodarczy.

Przytoczyliśmy świadectwa, zaczerpnięte wyłącznie z wynurzeń ludzi obozu rządzącego. Niema w nich oczywiście wzmianki o tem, co ponosi winę za stosunki tak nieraz jaskrawo krytykowane. Nie wynika oczywiście z tego, że takiego winnego niema, przeciwnie występuje on bardzo wyraźnie i społeczeństwo dostrzegło go już dawno.

W dyskusjach, jakie się obecnie toczą, roi się od uczonych terminów, jak inflacja, deflacja, dewaluacja i t. p. Te uczone pozory kryją za sobą zwykły elementarny fakt gospodarki i życia ponad stan, wywołany t. zw. radosną twórczością skierowaną, jak to p. wiceminister Jaroszyński w stosunku do samorządów stwierdził, do utrzymania swojej administracji, czyli swoich ludzi.

Nadchodzi podobno czas naprawy. Ale czy ten system może się naprawić? Narazie mamy podwyższenia podatków.

ARGUS

NA MARGINESIE

Wesoły feljetonista „Kurjera Warsz." Sęk w wierszyku, który poniżej przytaczamy, charakteryzuje stan umysłu człowieka wsłuchującego się w radjo — jaki osad zostaje w jego głowie. Śmiało rzec można, że ten śmietnik symbolizuje umysłowość odświętną współczesnego mieszczucha.

„Sygnał czasu. Arja Jontka.
Słuchowisko: „Pstrąg i łątka".
Komunikat.
Chór niemowląt. „Książę Pepi".
Hasła polskie: „Wódka krzepi".
Hejnał, eksport i „Śmierć Azy".
Przepis na nelsońskie zrazy.
Fortepianu trzy sekundy.
Pyskoboju cztery rundy.
Pim. Strojenie instrumentów.
Słówko w sprawie alimentów.
Socjologji krótka chwilka.
Głosy kniei: (wycie wilka).
Komunikat. Coś z Chopina.
Jak usunąć zapach potu?
Duet skrzypiec i fagotu.
Marsz żałobny Beethovena.
Wychów cieląt. Kantylena.
Odchrząknięcie z pogadanki:
„Jak przyrządzać świetne grzanki"?
T.K.K.T. znów na scenie:
Pomirowski o Kadenie.
T.K.K.T. (skecz beztroski):
Kaden znów o Pomirowskim.
Referacik: „Czem jest czysta?"
Coś dla dzieci: „Szpak i glista".
W mikrofonie pan minister.
Still: Dranem i Dolly-Sisters.
„Postęp kraju znakomity".
Płyty. Płyty. Płyty. Płyty.
Ceny jajek. Poszum lasu.
Arja Jontka. Sygnał czasu"...

Należy dodać, że od czasu upaństwowienia polskiego radja, wszelkie przerwy w słuchowisku poświęcone są hasłu muzycznemu, powtarzającemu wkółko: „Nie chcemy od was uznania... Nie chcemy..."

Ach, nikt z uznaniem nie śpieszy!

*

Dzienniki podają, że na podstawie pełnomocnictw powołana będzie nadzwyczajna komisja do badania potrzeb i „bolączek" kraju. Po przeczytaniu tej informacji marszałek Prystor zapytał marszałka Cara:

— Może mi się tylko tak zdaje, ale słyszałem coś w tym rodzaju, że gdzieindziej w tym celu wymyślono parlamenty, aby rząd wiedział, jakie są potrzeby i bolączki kraju.

— Pewno się panu tylko tak śniło...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.